



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.



TERESA RUSSANOWSKA.

TERESA RUSSANOWSKA.

Dnia 20 Września bieżącego roku przerwała się nie bardzo szlachetnego, pięknego, czystego życia niewieściego — zmarła prawdziwie świętej pamięci Teresa Russanowska, panna z zamożnego domu właścicieli ziemskich z okolic Winnicy Podolskiej, i zapłakały setki najuboższych dzieci naszego miasta, które wtedy dopiero dowiedziało się dowodnie, choć tylko w części, jaka to kobieta wysokich cnót i uczynków dobrych żyła między nami, pełniąc w cichości święte dzieło najszlachetniej pojętej filantropii. Majętna, wdzięcznej powierzchowności, w trzydziestu kilku latach życia, przybyła do Warszawy 1877 roku, aby tu wieść istnienie poświęcone najzupełniej dla dobra innych, i to najuboższych, najniżej stojących i najbardziej potrzebujących opieki. *Szwalnia ubogich dziewcząt*, otwarta w 1882 r. w gmachu po-Dominikańskim, to jej dzieło — dzieło takiej użyteczności publicznej, że stawia zmarłą w rzędzie ludzi odzianych godnością zasługi obywatelskiej.

Ochrony miejskie mogą obecnie zgarniać dzieci tylko do siedmiu lat wieku; cóż przecież dzieje się potem z nimi — zwłaszcza z tym dzieckiem wyrobników i rzemieślników niższego rzędu, którym braknie na to grosza, aby je posyłać do kosztowniejszej już szkoły elementarnej? Gdy rodzice są na robocie — bo tu i matka, praczka, posługaczka dzienna, robotnica w ogrodach podmiejskich, wychodzi na zarobek — ulica i podwórze wychowuje dziatwę tę biedną, niezdolną jeszcze w tym wieku do pracy żadnej, więc puszczoną samopas, oddaną na łaskę i niefaskę miasta, w jego najsmutniejszych dzielnicach. Myśl o tych opuszczonych stworzeniach ludzkich, stokroć biedniejszych od wróbli miejskich, które kręcą się podobnie po kątach, zaułkach ciemnych i brudnych, ale mają skrzydła, które je potem unoszą w górę, tknęła szlachetną duszą Russanowskiej. Jakie są wpływy, którym te istoty młode podlegać mogą, jakim jest złe, z którym spotykać się muszą! Około dziesiątego roku pewna liczba takich dziewcząt biednych zaczyna być przyjmowaną za chleb i jaki taki przydziewek do pilnowania i piastowania małych dzieci rodzin ubogich; ale najpierw jest to zajęcie bardzo szkodliwe dla zdrowia dziewczęcia w tym wieku, którego kibić wykrzywiania i niejako łamie; powtóre bardzo mała liczba znajduje zajęcie stałe, z innej strony zbawienne dla biednego dziewczęcia, reszta zaś zostaje wystawioną na najzgubniejsze już w tym wieku oddziaływanie, na rozpróżnienie się, zdziczenie prawie, a jeżeli zdarzy się tu jaka robota, zajęcie jakiejś posługi, przypadkowe to jest i bynajmniej nierozwijające pracowitości, niekształćące do jakiegokolwiek porządku na przyszłość. Dlatego to, aby dać dziewczynie ubogiej zajęcie, powstała szwalnia dziewcząt, otwarta w dzielnicy Starego Miasta, najliczniej zamieszkałej przez tę ludność, o której małoletnią córkę tu chodziło. Miał tu miejsce zacny współudział księcia Tadeusza Lubomirskiego, którego szlachetna działalność jest wszędzie, gdzie tylko wznosi się jakieś dzieło dobroczynne; zgrupowało się tu do pomocy grono opiekunek, wśród których zaznaczyła się szczególnie p. Balbina Zaleska, ale niemniej twórczynią i duszą przedsięwzięcia była ona — ona, która kładła w nie nietylko pieniądze, ale i uczucie swego tkliwego, kochającego serca. Łatwiej jest dać grósz, zwłaszcza osobie majątnej; jest to wprawdzie ujęciem go sobie, swemu używaniu, zbyt kłopotliwym; więc ofiara to, którą społeczeństwo powinno przyjmować wdzięcznie i darzyć za nią należnym uznaniem. Ale kto tu dodaje część własnej istoty, część swego ducha, kto tak, jak ta szlachetna zmarła, będąc panią z rodu, więc (nie mówię tu uprzedzeń, bo była ona wyższą nad to) ale przywyczajeń, nawyknień życia pańskich, siada wśród ściśniętego tłumu z ulicy zebranych dziewcząt i uczy je osobiście, szyje między nimi dnie całe, pracuje aż do zmęczenia, do użnojenia czoła — ten skarbi sobie zasługę in-

ną jeszcze: wyższą, nie obliczoną na dobro materialnie świadczone. Taką też była zasługa tej zacnej kobiety: kochała ona gorąco ludzkosć, kochała w ludzkiej społeczności swoją, i te dwie najświętsze miłości ludzkie podnoszą ją wzwyż i czynią z niej postać wyróżniającą się i uświęconą przez cnotę już niepospolitą, cnotę, która daje prawo do uczenia publicznego.

Że nie było w tem nic tej przymieszki, która rodząc się z próżności, jest chęcią rozgłosu i stawianiem się przed oczyma ludzi na świeczniku cnoty, dowodzi fakt, że nie należała nigdy do żadnych publicznych kwest, loteryi, bazarów dobroczynnych. Pracowała cicho i w ukryciu, jak Siostra Miłosierdzia i obok niej: była też Siostrą Miłosierdzia, choć bez welonu. Obrabiała sobie jedną, skromną, niebłyszczącą gałąź dobroczynności i, pracując na tej drodze do gorącego znoju, pozostawała nieznaną publiczności szerszej. Znał ją tylko lud ubogi, dla którego dzieci stała się matką, i jak jeszcze troskliwą matką!... Aby to zrozumieć trzeba znać starannie, niepowierzchniowo obmyślany układ *Szwalni ubogich dziewcząt*. To nietylko szwalnia jest, bo kształci tu się ogólnie dziewczyna uboga do życia w rodzinie ubogiej, i zarazem do pracy, jaką najłatwiej i najrychlej dziewczyna taka znaleźć może: do pracy domowej sługi. Sporządzać, przerabiać odzież znoszoną: to najpierwsza nauka, za którą idzie dopiero szycie i to nie przeważnie maszynowe, jak w zwyczajnych szwalniach. Rodziny ubogie i średnio zamożne potrzebują podawnemu igły, i *Szwalnia ubogich dziewcząt* posługuje się tylko dwiema maszynami do szycia, bo jest jednak w zakładzie pewna liczba uczennic, albo szczególnie zdolnych, albo delikatniejszego ustroju, niezdolnego do pracy ciężkiej, które otrzymują tu i naukę roboty sukien, naukę kroju, na które posyłane są przez szwalnię do znanego krawca kobiecego Głodzińskiego, udzielającego jej bezpłatnie.

Dziewczeta uczą się tu przytem różnych prac w zakresie porządku domowego: prania, mycia podłóg i naczyń domowych, uczą się gotowania potrzebnego ubogiej kobiecie rodziny wyrobniczej, rzemieślniczej, co nie jest zbyt znużające, jakby się to na pierwszy rzut oka zdawać mogło. Umieć zgotować strawę prostą na zasadzie racjonalnej oszczędności, z pewnem zrozumieniem danych higienicznych; z pewnem pojęciem, co jest pożywność — to też ważna gałąź gospodarstwa kobiecego, której nierzadko braknie rodzinom ubogim.

Ponieważ około 60 najbiedniejszych dzieci dostaje w szwalni obiad, jest tu pole do tej nauki, z którą się łączy wdrożenie do schludności, drogocenne nawyknięcie do porządku. Jak nauka przygotowująca kobietę z ludu do życia w rodzinie jest jej potrzebną, dowodzi to, że zgłaszają się po nią nierzadko kobiety już dojrzałe, zamężne. Zakład nigdy nie odrzuca żadnej i jest corok kilkanaście takich uczennic nadkomplementnych, uczących się szyć, cerować.

Kurs regularny szycia i wogóle robót ręcznych jest dwuletni. Zarobek dzienny dziewcząt, już poduczonych, był początkowo, to jest do 1883 r., wypłacany im co miesiąc; że przecież dziewczęta były odbierane przedczasem ze szkoły, to przez niedbalstwo, czy interes rodziców, to z namowy szwalni prywatnych, nastąpiła w tem zmiana. Zarobek każdej z nich zostaje im wpisywany co miesiąc do książeczki imiennej, i wypłaca się dopiero z ukończeniem kursu, tytułem tantiemy. Najpilniejsze, najpracowitsze dostają nagrody po 25 rs., co razem uczyni przeszło 30 rs. i wychodząca ze *Szwalni* dziewczyna, ma już jakiś swój kapitał, chroniący od nędzy na wypadek choroby, lub ciężkiego jakiegoś zdarzenia. Dziewczynka, która mimo to chciała porzucić *Szwalnię* wcześniej, obowiązana jest zapłacić za naukę, i choć zapłata jest obliczona bardzo nisko, zawsze wytrącenie z tantiemy staje się ubytkiem dla dziewczęcia biednego, które też cofa się przed tą karą i obecnie niemal wszystkie kończą kurs tak, jak się na niego zapisały.

Złudnie podały niektóre pisma, cyfrę wyuczonych w zakładzie dziewcząt na 600. Wszystkich uczęszczających do zakładu od chwili powstania było może tyle, ale liczyć się powinno jedynie te,

które całkowity kurs nauki skończyły — to jest około 200.

Obecnie jest w *Szwalni* dziewcząt przeszło 190. Mogłoby ich być od 500 do 600, ale, niestety, szczupłość lokalu nie pozwala przyjmować wszystkich, które się zgłaszają. I tak panuje tam pod tym względem przeludnienie. Dostaje obiad złożony z zupy i chleba 60 najbiedniejszych lub mieszkających bardzo daleko, bo są takie, które przychodzą aż z Pragi, ze Szmulowizny — biedactwo! Zpomiedzy tych otrzymują niektóre i więcej.

Szwalnia ubogich dziewcząt, będąca szlachetnem, miłosierdnym chrześcijańskim zgarnieniem biednych córek ludu, aby je ustrzedz od złych wpływów opuszczenia, aby je wychować w uczciwości i pracy do uczciwego i pracowitego w przyszłości istnienia: oto tytuł zmarłej do publicznej czci jej imienia, do wdzięcznego wspomnienia jej przez ogół. Zaczyna jej siostra, hr. Honorata z Russanowskich Kwilecka, nie pozwalająca, aby dzieło to pocziwie upadło ze zgonem jego założycielki, i stanęła dobroczynnie na miejscu niespodziewanie opróżnionem przez śmierć przedwczesną, nagłą, nieprzewidywaną. Jak zmarła była dobrą, pełną troskliwego uczucia dla innych, jak nie posiadała nic — nic egoizmu ludzi zwykłych, wykazuje rys charakterystyczny: umarła w nocy samotnie, bez nikogo, któryby przyjął jej tchnienie ostatnie — bo nie pozwoliła czuwać przy sobie, nie dała, aby się trudzono, męczono dla niej. Wierna, gorąco przywiązana do niej służąca, nie chciała odstąpić od łóżka ukochanej pani, ale ona wzbronila jej tego powagą swoją. Musiała więc odejść, aby potem rano ujrzeć już martwą. Śmierć była tak cicha, jak życie, a trudno wypowiedzieć ile żalu, ile łez spowodowała między domownikami i biednym ludem, który zmarłą uważał za świętą.

Czczono ją tak i kochano nie z tego powodu głównie, że dobroczynna, że liutośna wspierała każdą nędzę, wspomagała każde ubóstwo, tłumnie się do niej cisnęło, bo serca nie kupuje się pieniędzmi, ale dlatego, że w obejściu z ludźmi była anielsko słodką, anielsko dobrą — że nie posiadała żadnej rodowej pychy, nie odosobniała się od niżej postawionych, jak ktoś, który się czuje z innej, niż oni gliny. Jej istota ulana była z czystego złota szlachetnej ludzkości.

Każda z jej sług, nie umiejących czytać, była osobiście przez nią samą nauczana, a nie jest to jeden szczegół oderwany od całości jej obejścia się ze służącymi. Nikt nigdy nie słyszał u niej ostro podniesionego głosu, surowo, chłodno rzuconego rozkazu. Przyjęła raz kucharkę z dzieckiem, którą pokazała się nie umiejącą, lecz jakże ją odprawić?... Biedna... potrzebowała nauczyć się pracy, chleb dającej, bo inaczej, jakimże będzie jej los? i ta pani bogata, ta córka karmazynowego rodu przypasuje fartuszek stając przy komini i pokazuje, objaśnia — uczy. Dziś też ta służąca, której córkę nauczyła z kolei czytać, płacząc jej śmierci gorąciami a wskroś szczeremi łzami. Redaktor *Biesiady* widział ją raz na ulicy zatrzymującą powóz, aby przywołać do siebie biedną dziewczynę góralkę, która zawodziła żałośnie, otoczona przez tłum ludzi. Pewna pani warszawska przywołała ją ze sobą z Tatrów i naraz wypędziła z domu, posadzając ją o złe skłonności. — O dla Boga! dla Boga — co ja zrobię!.. szlochala biedna, nagle wypchnięta na bruk miejski dziewczyna. Przejeżdżająca usłyszała ten jęk boleści i zabrała ze sobą — posadziła obok siebie w powozie.

A nie było to bynajmniej konieczną potrzebą zapełniania przez uczynki dobroczynne samotności serca, pustki życia, bo wykształcona wiołostronnie, posiadała obdarowanie artystyczne: miała wielkie zamiłowanie do malowania kwiatów, i umiała je też robić — robiła je, nauczając kwiaciarstwa potrzebujące tego dziewczyny, zawsze łagodna, pogodna, zajęta tak innymi, że nie miała czasu na smutki i żale własne, na tęsknoty, które są chorobą dusz samotnych. Po kilka godzin dziennie żyła w *Szwalni* na maszynie, choć przy chorobie serca to rzecz była szkodliwa i może przyspieszyła śmierć, tak gorzko opłakiwaną przez tych, dla których była ś. p. Teresa opiekunką i jakgdyby matką tkliwą. Śmierć jej, choć nagła

i samotna, była jednak szczęśliwą śmiercią: czy-
sta na sumieniu i usprawiedliwiona przed Bogiem,
nie zostawiająca za sobą nic w zamieszaniu umarła
bez długich cierpień i względnie młoda, odeszła
ze świata w całej jeszcze pełni sił, nie doczekawszy
zimy życia, nie więdnąc jak liść, który spada
z drzewa już żółty i uschły. Bóg wziął ją w krainę
wiecznego pokoju, która stoi otworem dla istot
takich, jak ona.

M. Ilnicka.

W RZYMIE.

Nad Rzymem słońce spadało ku ziemi,
Dumne, w dyademie, w lekkich chmurek todze,
Już gasło—jeszcze blaski ostatniemi
Szło na spoczynek po grobowców drodze,
I padło w końcu iskrami drżącemi
Przy marmurowej boga Rzymu nodze—
Z góry na słońce patrzył Jowisz-Stator,
Słońce u nóg mu gasło, jak gladiator.

W cień zapadało wielkie miasto świata,
Mgła otulała jego wzgórza skalne...
Tam nad świątynią kadzidło ulata,
Tam się rysują łuki tryumfalne,
Wśród laurów bieli się posągów szata
I rysy którejsz z bogiń idealne;
Jedno się słońce na niebie dopala,
Drugie zamyka ciemna Tybru fala.

A słońce Rzymu takie chodzi dumne,
Jakiem go żadne nie widuje plemię;
Wstając, krok pierwszy wznosi na kolumnę
I lud je widzi zawsze w dyademie;
Czasem wzrok rzuci na Cezara trumnę
Potem zwyczajko spogląda na ziemię—
Bo w wielkich bogów Koloseum starem
Jest jakby drugim dla Rzymu Cezarem.

I nic mu w ciemnych błękitach nie grozi,
Rzym przeciw niemu nie uknuje spisku,
Sztylet mu serca w piersiach nie zamrozi:
Więc, cicho w swoim pałac się ognisku,
Błyszczący rydwan po niebie przewodzi
I, przypatrując się ludów igrzysku,
Dni ma spokojne, niczem nie zatrute
I nie ma komu szepnąć:—Et tu, Brute?

A przecież czasem smutne, choć Rzym stoi,
Choć barbarzyńscy już jęczą rywale,
Choć się Kapitol w nowe bogi stroi
I śpiew Westalek wstrząsa święte sale,
Duma głęboko, przyszłości się boi
I przy Tarpejskiej nachylone Skale
Rozważa w sobie: czy warto się smuć
Losami Rzymu, czy się zaraz rzucić?

Był taki zachód jeden pełen troski,
Choć wieczór lekkie velarium różowe
Zarzucał miastu na jego sen boski
I na schyloną Rzymianina głowę,—
Zachód rozkoszny, wonny, cichy, włoski,
A jednak słońce światłości połowę
Ukryło w szaty purpurę i zbladło,
I zasmucone w głąb morza upadło.

Nad brzegiem Tybru był dom Rzymianina;
Rzymianin zginął na czele legionu,
Dzikich go Cymbrów przyniotła lawina—
A wielkiej chwili rycerskiego zgonu

Nieszczęsna matka miała uczyć syna
Wpajając słowa dawnego zakonu:
Że choć jej serce miałby żal rozdzierać,
Dla kraju musi, jak ojciec, umierać.

Ale syn, mały, jeszcze nie pojmuje,
Tylko rączkami za laur ojca chwyta;
Matka pamięta, i kocha, i czuje,
I patrzy, milcząc, jak dziecko rozkwita,
Z przyszłością syna w sercu się pasuje;
I często świętych augurów się pyta:
Wróżbici jęczą i włos im się jeży,
Rzuca przekleństwo... lecz matka nie wierzy.

Nie! przyszłość jego nie może być chmurna,
I jeszcze bogom na los jego starczy.
Kadzidło codziennie płonie dla Saturna
I dziecko sypia na ojcowskiej tarczy,
A z popiołami bohatera urna
Jako talizman na przyszłość wystarczy;
Lecz ile razy dziecko w nią zadzwieczy
Drży drobna rączka, a w urnie coś jęczy.

Matka schylona nad uśpionym synem
Cała się w jednym zamyka uśmiechu,
Całuje śpiące i zdobi wawrzynem
I z tego dziecka wątego oddechu
Pragnie już odczuć: czy jest Rzymianinem?
Nie wierząc wróżby złowrogiemu echu,
Widzi go wielkim rycerzem w narodzie
I w tryumfalnym już wiedzie pochodzie.

A słońce patrzy; złoci kapitele
Starego domu i w fontannie błyska;
Biegnać po ścianach we wspomnień kościele,
Rzuca się, drżące, gdzie dziecka kołyska
Złote promienie pod główkę mu ściele
I w tarczy ojca gra światel igrzyska;
A matka, patrząc na słońca pieszczoty,
Czuje, że słońce jest ojcem sieroty.

Teraz gdy chłopiec śpi i przez sen wzdycha
Ona przyniosła mu kwiatów z ogrodu;
A z każdej róży pełnego kielicha
Woń się wylewa słodczy i miodu;
Gałązka lauru przechyla się cicha
I błyszczący świetnie w promieniach zachodu,
A wszystko ciche, jako rzeźba grecka:
Laury i róże i słodka twarz dziecka.

Dziecię mieszało ze sobą te kwiaty,
Jasny liść róży z laurową żalobą,
Do ustek brało pachnące szkarlaty,
I tak przybrane tych kwiatów ozdoba
Nie przeczuwało, że łączy dwa światy,
Które tak rzadko żyć mogą ze sobą:
Róże rozkoszy i sławy laur boski
Wplatało sobie w cherubinka włoski.

Matka, na obraz taki zapytrzona,
Stała, dumając pod białym filarem,
Na sercu drżała jej śnieżna zasłona
A serce biło pod przeczuć ciężarem;
Jak anioł troski patrzyła schylona
I patrycyuszki oko błysło żarem:
Więc resztę kwiatów rzuciła na dziecko...
Wtem słońce zaszło czerwono, zdradziecko.

Potem noc była, od księżycy biała,
Smutna echami, słowikami śpiewna;
A nad kołyską matka noc przetrwała,
Jak geniusz ciszy milcząca, powiewna;
Pod chmurą kwiatów jej nadzieja spała
I czasem przez sen jękała nuta rzewna,

A potem matkę, i dziecko, i kwiaty,
Noc otuliła w swoje miękkie szaty...

Minęły lata, a matka za synem
Błądzi i próżno go po Rzymie szuka.
Syn jej już nie jest dawnym Rzymianinem;
Jego nie wabi ni mędrców nauka,
Ani pieśń wieszczów, ani miecz z wawrzynem,
Do świątyni próżno biedna matka puka
I na Kapitol zatroskana chodzi:
Jego tam niema wśród rycerskiej młodzi.

Dawno, jak z lekkim uśmiechem porzucił
Szlachetnych ojców swoich święte progi,
Zaledwie dorósł, szatę chłopca zrzucił,
Pożegnał matkę i domowe bogi;
Wychodząc jedną łzą się nie zasmucił
I szedł w świat wielki, tak płocho, bez trwogi,
Że matka długie składała ofiary,
Aby przebłagać Penaty i Lary.

Poszedł. Któż zdoła strzedz kroków młodzieńca?
Poleciał sokół zawczasie rozkuty,
Królewicz życia, w purpurze rumieńca
Poszedł panować na ten świat zepsuty,
Pelen szaleństwa, co kwiaty mu z wieńca
Zwarzy oddechem, i kroplą cykuty
Każe mu potem ciężko pokutować,
Gdy będzie życia najbardziej żałować.

Matka, przecuciem miłości wiedziona,
Odgadła wreszcie, gdzie syn jej być może;
Patrzyła długo w ciemność przerażona,
Nie wierząc prawie w to straszne bezdroże,
Gdzie duch się błąka, zaćmiewa i kona,
I nie ma w końcu siły krzyknąć: Boże!
Więc niespokojność czując niepojętą
Wstała i z Rzymu wyszła Drogą Świętą.

Minęła stary grobowiec Scypiona.
W wieńcu pomarańcz już znikły krużganki;
Na szczycie grobu wielkie słońce kona
I złoci białe marmurowe wianki;
Tam błyska tarcza, tam królów korona,
Tam więdną róże i rzymskie tymianki;
Na drodze smutno, choć niebo błękitne,
Choć wieczór cichy, choć pomniki szczytne.

Coraz mniej grobów bieleje w zieleni.
Czasem kolumna sterczy obalona,
Cicho śpią zmarli wśród oliwnych cieni;
Długa historia ich czynów skończona...
Rzymianka śpieszy i twarz jej się mieni,
To jej przodkowie!—a syn jej? a ona?
Schyliła głowę i dalej szła drogą,
Z potęgą Porcyi, lecz z Kalpurnii trwogą.

Grobowce znikły. Kwitnąca natura
Pod stopy ściele jej listki palmowe;
Na tle zieleni ruina ponura
Niebu odsłania swe wnętrza grobowe;
Tam orzeł, w sztandar rozwinięty pióra,
Jęknął i leci w chmury piorunowe,
Dokoła cisza i nic nie szeleszcze,
Jakby pomniki ciągnęły się jeszcze.

U brzegów drogi bogate winnice;
W ich cieniu letnie mieszkania Rzymianów.
Tu w białych szatach gonią się dziewice,
Tam nuć wieszczce w wieńcach z tulipanów;
A młodzież rzymska oczu błyskawice
Zwraca na dzidy świętych pretoryanów
I woła: komuż tam śmierć dziś niesiecie?
A jutro władzą kto będzie na świecie?

Spiewy, krew, różę, pomieszane razem
Łączą się w echa tych wieków—niestety!
W dzień—Rzym się nudzi lub błyska obrazem,
Z którego Cezar i Chrześcian szkielety
Patrzają, milczenia przywalone głazem;
Cezar się lęka nocy, bo sztylety
Budzą się w cieniu, gdy zła gwiazda błyska:
Więc noc przerywa pochodnią igrzyska.

Ludzie popsuli się i miasto stare
Szaleje zbytkiem, nędzą i rozpaczą;
Garstka wyznawców nową głosi wiarę
Ale tłum nie wie, co ich słowa znaczą;
Czuje, że błędzi i przeczuwa karę;
Sofiści krzywo sumienie tłómaczą —
Tak różnych krajów pomieszane ludy,
Lecąc ku strasznym końcom, giną z nudy.

Młodzi Rzymianie kwiat we włosach noszą,
Na ustach żarty, a w rękach kielichy.
Chmara motyli tych żyje rozkoszą
I nawet nie ma dawnej ojców pychy;
Trefione głowy ponad tłum podnoszą,
Żywot ich jako tłumy tego lichy,
I krzyczą, jeżdżąc w wozach, po ulicy:
Cyrk, i tortury! różel! męczennicy!

Takie z zarośli laurowych odgłosy
Biegły na drogę, gdzie pośpiesznym krokiem
Szła biedna matka, patrząc się w niebiosy
Przecuciowego niepokoju wzrokiem:
Gdzie syn jej młody, piękny, złotowłosy?
I czy zdobędzie go jeszcze urokiem
Tego, co ręką do piersi przyciska
A co, jak marmur, zpod draperyi błyska?

Właśnie stanęła przed domem Popei,
Co ma rząd kolumn na białym krużganku,
Kiedy, rzuciwszy okiem w głąb' alei,
Ujrzała chłopca w heliotropów wianku,
Z puharem w ręku, który szedł w kolei
Z rąk do rąk; światło zamknięte w kaganku
Płono u stóp młodzieńca różowo,
Tworząc jaskrawą mu lunę nad głową.

Twarz jego była jak marmury blada,
Znużona; oczy miał wielkie i smutne,
Na ustach uśmiech ten, który osiada,
Kiedy się życie wiedzie zbyt rozrzucone;
Niby niechętnie na lica się wkłada,
Bo może lży go ubiegły pokutne?
Uśmiech szyderczy wpół a wpół znudzony!
Co mówi obojętnie: „Jam stracony!”

Chłopiec wznosił rękę zpod płaszcza purpury;
W rzeźbionej czary błyszczącym kryształe
Rozkoszny napój pili się do góry
I rósł nad brzegi w brylantowe fale;
Z białego czoła rozeszły się chmury—
Odrzucił togę i krzyknął: Rywale!
„Jeśli Popea nie będzie mi wierną —
„Ostatni w życiu raz piję falerno!”

Zanim domówił tych słów, kwiatów pęki
Lecą na pierś mu, na czoło, na szaty,
Sypane z pięknej, delikatnej ręki,
I tuż, jak motyl zleciawszy skrzydlaty,
Popea schyla się, i biorąc dźwięki
Najśłodsze głosu: „Jam wierna jak kwiaty”
Szepcze mu z śmiechem zalotnym amorka,—
Ta na arenie zepsucia aktorka.

Młodzieniec zerwał się i zbliżył do niej,
Strząsając kwiaty tej pięknej pod nogi;

Popea różą dotknęła mu skroni
I chciała mówić coś, klnąc się na bogi...
Lecz w tem, z mirtowej coś błysło ustroni
I jakiś posąg, jako fatum srogi,
Stanął wśród uczty i, oczy jaskrawe
Topiąc w młodzieńcu, smutnie jęknął: „Ave”

Kilka puharów przysło o marmury,
I kilka wieńców znad skroni opadło,
We włos Popei, w turkusowe sznury,
Kilka ognistych promieni się wkradło
Z nocnej pochodni. Z poza kwiatów chmury
Czoło drżącego młodzieńca poblądło;
Bezwiednie w rękach rwąc wonne równianki,
Kolejno patrzył na te dwie Rzymianki.

Tak przeciw sobie stanęły rywalki,
Walcząc spojrzeniem o zbłąkane dziecko;
Ta w dyademie, nie czując do walki
Siły czy chęci, śmiała się zdradziecko,
A matka, z grozą przeczystej Westalki,
Oczy draperyą zasłoniła grecką
I długą chwilę tak stała bez przerwy,
Cicha i silna, jak posąg Minerwy.

Kaganiec, nogą młodzieńca trącony,
Przygasał, krwawe rozrzucając blaski,
I tulił postać matki w płaszczy czerwony,
A wszystkim dawał ogniste przepaski
Nad czołem. Puchar srebrny upuszczony
Pod stopy wino jej lał, jakby łaski
Żądał. A matka, na kwiatów obrusie
Stojąc, wyrzekła z siłą—„Romulusie!”

Młodzieniec powstał, ukryty w półcieniu:
Z ramion zsunęła mu się rzymska toga;
Spojrzał na matkę, ale w tem spojrzeniu
Jeszcze zdawało, że się wyrzekł Boga;
Patrzała długo w niemem rozżaleniu,
Że dla niej wszystkim dziś—pomników droga!
Że dla niej wszystkim dziś, ta urna biała,
Którą draperyi zwojem zasłaniała.

I jak tragiczna niegdyś Antygona,
Stała z tą urną przy sercu cierpiącym,
I tuląc czarę popiołów do łona,
Patrzyła w syna okiem badającym;
Z urny zsunęła się biała zasłona,
A ona, marmur ten unosząc drżącym
Ramieniem w górę, rzekła: „Matka—syna
„Na te popioły ojcowskie zaklina!”

„Na pamięć ojca, którą od kołyski
„Wpajałam w ciebie, kiedyś marzył senny,
„Kiedy na czołe twem witałam błyski,
„Co zwiastowały jakiś świt promienny!
„Dziś nad przepaścią ty i śmierci blizki,
„Błady, od dziecka tamtego odmienny,
„Zsuń błędne różę z wybladłego czoła,
„Idź na Germanów! twój legion cię woła!”

Gwiazda wieczorna długo się już pali,
Już nocne echa prowadzą rozmowę,
W cieniach bluszczowych goreją w oddali
Rozkosznym światłem, jak gmachy tęczowe,
Wille bogatych Rzymian, co w dzień spali;
A duchy jakiegoś przechodzą dąbrowę,
I dziwne echa w starych drzewach budzą
I jęczą czegoś tak, i tak się nudzą.

Dziwne przeczucia rodzą się w ciemności...
Rzymianin nie śpi w nocy, bo się boi
Własnego swego sztyletu jasności
I tej pochodni, co przed domem stoi

Piersi ma puste, a dawnej wielkości
Już nie pamięta i ramion nie zbroi,
Bo dziś już walki niema, same zdrady:
Więc patrzy, milcząc, na domu arkady.

Świat błędzi. Młodzież rzymska się tłómaczy,
Że jest niewinna, iż w tym wieku żyje;
Że sama nie wie, co jej rozstrój znaczy—
Może się jaki bóg z bogiem gdzieś bije...
I może prawdę mówi tłum prostaczy,
Że świat się kończy, słońce się rozbije...
Więc, kiedy wszystko w przepaść się nachyla,
Niech choć ostatnia drży rozkoszą chwila.

A w mężach starych już duch dogorywa;
Dawnej powagi nie chcą rzucać w błoto;
Gdy się poruszają, zbroja się odzywa,
A wzrok ich w przeszłość powraca z tęsknotą;
Świat nowy kręci się i wiek rozgrywa
Na tej arenie, gdzie się ludy gniją;
Orzeł strzaskany sterczy na sztandarach,
Więc starzy milczą na sławy swej marach.

Gladiator walczy chwilę i upada:
Dziś zwycięzcami są lwy i pantery!
Nad konającym oklasków kaskada
Brzmi i szaleje; a z katakumb sfery
Coraz-to nowa postać wstaje, blada,
I aureolą swą rozjaśnia ery
Tej grube cienie i krwią swą perlistą
Pisze na piasku areny: Pro Christo!

Gladiator milczy i w kurzawie kona—
Męczennik śpiewa. Niewinne ofiary!
Za nimi dziejów spuszcza się zasłona,
I niepojęty nowy okrzyk: Wiary!
Evoe!” krzyczą tłumy, druga strona
Powtarza: Amen! A świat ginąc stary,
Woła, gdy sączy się krwi pełna czara:
„Umierający pozdrawia Cezara!”

Tam od północy, co roku topnieje
Śnieg na gór szczytach i w doliny wpada
Dzikim strumieniem. I tam od Alp wieje,
Jak biała chmura, sztandarów gromada,
A za nią dzikie ludy, nowe dzieje;
Żołnierz legionów, jak mara upada,
Przeszłość promienne jego chwyta imię
I maże ręką,—a Cymbrowie w Rzymie!

O, świat ten kończy się, traci przytomność,
I sam już nie wie, jak rozumieć siebie;
W ruiny jego zapada ogromność—
A tam, na chmurnem rozbłyskuje niebie
Gwiazda przyszłości, do której potomność
Rwie się po strasnej epoki pogrzebie:
Lecz, nim postępu drogę czas uprości,
Przygniata siły gruz teraźniejszości.

I wszyscy czują to, że są przejściowi,
Że są na wieków przełomie i zrebie,
Że po nich przyjdą inni, młodzi, nowi,
A ich niepewne jakieś porwą głębie;
I tylko jedni, ci katakumbowi
Dostaną skrzydła do lotu gołębie
I będą jednym z tej ery człowiekiem,
Który się z nowym ma pogodzić wiekiem.

Gwiazda wieczorna długo się już pali...
Na świętej drodze ktoś kroku przyspiesza.
To rzymska matka—lecz już się nie żali,
I jednym słowem syna się pociesza

Które zaważyć ma na losów szali
Młodego ducha; na gwiazdach wzrok wiesz
Pełen nadziei,—bo to jej wystarcza
Że syn zawołał:—„Ojczy! miecz i tarcza!”
Szczęsna.

BEZ SERCA.

OBRAZEK Z ŻYCIA.

Zegar ratuszowy wskazywał godzinę dziewiątą zrana.

Warszawa wrzała już życiem pracującej ludności. Do otwartych kościołów wstępowali pobożni—krótką modlitwą krzepić duszę do całodziennych trudów. Pracownice igły, dążące do zajęć z figlarnym uśmiechem, rzuciły wzrokiem za postaciami mężczyzn do biur i kantorów idących, a młodzież szkolna, rozprawiając głośno, śpieszyła do nauk.

Wybrańcy tylko fortuny, ów tak zwany „wielki świat”, nie brał żadnego udziału w całym tym gwarze ulicznym. Pozapuszczane zasłony w oknach i głęboka cisza świadczyły wymownie, że „wybrani” w pełni jeszcze używają wczasu.

Jedną z pryncypalnych ulic miasta przechodził mężczyzna dystyngowanej powierzchowności, opięty pod szyję w ciepłe palto; kapelusz z dużym rondem przysłaniał mu czoło; twarz, o rysach charakterystycznych, miała wyraz ostry i sarkastyczny, łagodzony jedynie głębokiem spojrzeniem ciemnych oczu, myślących a smętnych.

Przed nim postępowało kilku ludzi, niosąc na barkach kosze napelnione kwitnącymi kwiatami.

Dzień był jasny, pogodny; słońce się już wzbilo wysoko, a w łagodnym powietrzu czuć było tchnienie zbliżającej się wiosny.

Młodzieniec przyglądał się z dziwnym jakimś uśmiechem rozmarzenia białym konwaliom, których mnóstwo wyzierało z koszyw ogrodniczych.

— Kwiatki, wy ukochane pieśczęszki moje! — szeptał tklawie, jakby do rozumieć go mogących istotek — posłanniki moich tęsknot, wspomnienia moich rozkoszy!

Szedł dalej wpatrzony w te białe drobne gałązki, a purpurowe pełne wargi drgały namiętnym wzruszeniem, rysując w kątach ust ostre linie, które nadawały całej twarzy wyraz głębokiej boleści.

Nagle zbladł i cofnął się o kilka kroków; zdziwienie i niepewność miotły nim kolejno, a ciemne łuki gęstych brwi zbiegły się ku sobie groźnie.

Ludzie niosący kwiaty zatrzymali się przed frontem okazałej kamienicy i po dokładnym zbadaniu numeru weszli w bramę.

— Co to jest?!... kto jej śle taką moc kwiatów, moich ulubieńców? — wyszeptał wzburzony.

Zdjął z głowy kapelusz i drżącą ręką ocierał spocone czoło; przeszedł na przeciwną stronę ulicy, chcąc spojrzeć w okna pierwszego piętra; gdy w tejże chwili z bramy domu wyszedł zgrabny młodzieniec o rumianej i okrągłej twarzy. Rozejrzał się dookoła, przymrużonymi oczami mierząc stojącego mężczyznę, poczem z drżącym na ustach uśmiechem wykrzyknął głośno:

— Dzień dobry, panie Stefanie Horwart!... A cóż, nie pojechałeś pan jeszcze na drugą półkulę?...

Świeży, dzwieczny głos młodego chłopca wywołał posępną zmarszczkę na czole poważnego człowieka; ale po pewnem wahaniu się Stefan podszedł ku niemu, obojętnie napozór rzucając:

— Co u was słyhać, Bolesławie?...

Ale gdy twarz wyrażała spokój, ton jego głosu był suchy, szorstki prawie. Obydwaj spojrzeli na siebie ze źle ukrywaną zawistą.

Zapytany wzruszył ramionami i odrzekł lakonicznie:

— A nic—wszyscy są zdrowi—zaś po pewnej pauzie milczenia dodał złośliwie:

— Pan wie pewno, że u nas wielka uroczystość,—że to dziś ślub Zosi?—mówił zwolna, bacznie śledząc grę twarzy Stefana, a gdy ją spostrzegł zmienioną w jednej sekundzie do niepoznania, z głębokiem zadowoleniem prowadził dalej już wyzywająco:

— Ale niepotrzebnie pan się trzodzi zaglądaniem w okna, bo Zosia śpi w najlepsze!—Tyle tam—wskazał ręką na piętro domu—śmiechu i radości... tyle prezentów od pana młodego!... Jesteśmy nad wyraz szczęśliwi!... a...

— Milcz „blanc-bee-u!” — krzyknął Stefan, bledniejąc straszliwie i uniósł już zaciśniętą w górę rękę; ale wnet siłą woli pokonywając wrzące w sobie uniesienie, opuścił ją ruchem gwałtownym.

— Życzę szczęścia!... wam wszystkim go życzę!—drżącą wargą i głosem głuchym wyrzekł, pozostawiając czerwienionego ze złości wyrostka z niedokończonym na ustach frazesem.

Uchodził szybko, a doznane wrażenie stępiło w nim pojęcie sytuacji; zdawało mu się, że idzie wolno, że nie oddala się od tego domu radości i wesela, że przyrósł do miejsca zaklęty ironią głosów drgających w powietrzu opowiadaniem baśni o zawiedzionych nadziejach szaleńca i nadobnej parze, łącząc się mającej ze wzajemnej miłości.

Biegł już teraz prawie, a płonąca wyobraźnia ukazywała mu fantastyczne postacie, zaglądające w oczy z ciekawością i nienasyconą naigrawaniem się żądzą. Widziadła te, podsycane szyderskim głosem młodego chłopca w bramie domu stojącego — wirując wkoło niego, zagradzały mu drogę całego życia.

Z tym chaosem w mózgu, przy szybkim biegu — jakieś dziwne uczucie w sercu stłumiło mu oddech. Przystanął.

Obejrzał się poza siebie, rzucając w stronę oddalonego domu, przepełnione żółciowym jadem, piorunujące spojrzenie; roześmiał się sarkastycznie, przeciągle; a śmiech ten, jakby dał ujście bólowi, który ściekł w strumieniu łez, spadających po rozognionych policzkach.

W wirze ruchu miast większych wiele rzeczy ginie niepostrzeżenie; ale psotny los nie darował Stefanowi przekroczenia surowych reguł konwensu, przyjętych przez ogół przyzwoicie wychowanych ludzi, a zobowiązujących do miarowego na ulicy kroku, powierzchowności spokojnej i... pozostawiania łez i silniejszych wzruszeń w zamkniętym mieszkaniu.

W porannej godzinie, — porze prostaczków i panującej na ulicach swobody, gdy zmęczone pracą dzieci Eskulapa drzemają jeszcze w spoczynku, po trudach dnia poprzedniego przypadek sprawdził na drogę Stefana kolegę. — pesymistę, co prawda — ale życzliwego mu i dobrego przyjaciela, doktora Korwina.

— A tobie co? — zapytał żywo, ruchliwy, młodego wzrostu, niepoczesnej figury, człowiek, podając dłoń na powitanie.

Stefan powiódł dokoła zażawionym wzrokiem, odetchnął głęboko, jak po ciężkim zmęczeniu; uściśnął dłoń ku sobie wyciągniętą, poruszył ustami, ale głos nie wyszedł z ucisnionej piersi.

— Co ci się stało?... Czy połowę swoich pacjentów wysłałeś do Edenu, co? — zaczął ponownie Dr Korwin.

No i cóż? będziesz mi stał na ulicy i jak baba się mazgał?

Ujął Stefana pod rękę.

— To Warszawka! — lud w niej żywy i ciekawy, za chwilę będziesz otoczony gromadą widzów. Chodź, wejdźmy do cukierni na szklankę herbaty; będziesz miał czas zebrać myśli i oprzytomnieć.

— A dobrze—głuch i z trudem, odrzekł Stefan, poddając się przyjacielowi bez oporu.

W milczeniu przeszli środkiem ulicy.

— Herbaty! — rzucił krótko od progu doktor Korwin nadbiegłemu posługaczowi, kierując się do bocznego gabinetu.

Stefan automatycznie podążał za nim.

Ucisk moralny zmógł jego siły fizyczne. Usiadł

jak ciężko znudzony, a zarówno uczył potrzebę tłumionym w sobie uczuciem sprowadzić poniekąd ulgę słowami wywnętrzenia się. Gdyby nie było Korwina, byłby rozmawiał sam ze sobą. Wezbrane uczucia, tłoczące piersi, zmniejszają swą siłę, jeśli się wypowiedzieć mogą.

— Ty nie wiesz jaki we mnie ugodził pocisk!... Waryat byłem, kompletny waryat!

Wsparł głowę na rękach, trąc mocno sfałdowane czoło.

— Wstydę się tego niewieściego bólu, szarpiącego mą duszą, niemiękich łez trwonionych dla... ludzi bez serca! — roześmiał się, ale tak gorzko, przejmująco, nienaturalnie, — że doktor Korwin mu przerwał:

— Mój Stefanie, zmuszony jestem reflektować cię. Jesteśmy w cukierni, gdzie oczy ludzkie są na nas zwrócone; a my, lekarze, nie możemy wychodzić z powagi i zimnej napozór obojętności; na sekundę jedną nie wolno nam ścierać znaku pytania—bo to dewiza naszej godności.

Wsparł się niedbale o poręcz giętego krzesła, czesząc palcami ciemne ostre włosy; spoglądał chmurnie na Stefana. Ten, wpatrzony w jeden punkt przed siebie, puścił wodze myślom i, obradując z niemi, nie słyszał uwag kolegi.

Korwin dotknął jego ramienia.

— A—odrzekł zagadnięty. Więc ty nie wiesz, że to dziś ślub Zofii? — wyrzucił szybko przez zaciśnięte zęby.

— Taaak?... tyle tylko?... doprawdy, przypuszczałem gorsze rzeczy. To i dobrze, że raz się skończy z tą komedią, która pochłaniała ciebie całego. Ale co głównie nie doprowadziło twoich zamiarów do skutku?—zapytał, kładąc cukier do szklanki z herbatą i uważnie mieszając łyżeczką.

— To, że jestem rozwodnik, i to jeszcze rozwodnik, na którym zacieżyła nieuczciwa potwarz. Wiesz, jaką była śmierć mojej żony...

— Wiem: szalone zapalenie płuc przebieg gwałtowny, piorunujący...

— I złość ludzka nikczemnie obryzgała mnie swoim jadem. Doktor... dopomógł sobie, skracał proces rozwodowy, który się ciągnął za długo dla jego chęci. Równie to głupie jak nikczemne, a przecież cisnęło na mnie, na mój honor cień czarny. Te nędzne plotki tak wpłynęły na rodziców Zofii, że mi jej odmówiono, bo obrzydliwe plotkarki, stare ciotki, kumoszki wszelkiego rodzaju dodawały, że tamta nie mogła znieść obejścia się mego i już miała podkopane zdrowie, gdy ja niepocziwie porzuciłem ją, aby rozpocząć rozwód... i, jak widzisz, nie dali mi Zofii!

— Osobliwsze masz szczęście—rzekł Korwin, zapalając papierosa.

— Prawda—odrzekł z westchnieniem Stefan, wpatrując się w dno szklanki, stojącej przed nim.

Posępne milczenie zapanowało między obydwojma. Lekki szarawy obłoczek tytuniowego dymu unosił się ponad ich głowami pochylonymi w zamyśleniu, a z ulicy dochodził głos wesoło wygrywającej katarynki, przeciągłymi tonami niemiłosiernie drażniąc rozprężone nerwy.

— W tej Warszawie panuje pisk, wrzask, turkot tak ogłuszający, że kąta cichego nie znajdziesz—rzucił Korwin, niecierpliwie sięgając do kape-lusza.

— No, ale cóż Zofia?—dodał z interessującym współczuciem.

— Zofia?—powtórzył Stefan, jak echo, bezdźwięcznie. Zofia?... Czy ja wiem,—wymówił podnosząc oczy smutne na kolegę swego i wodząc po jego twarzy; bezmyślnie wyciągnął także rękę po swój kapelusz, a glądając go dłonią starannie i szukając na nim jakby myśli zgubionej, wstrząsał głową niezrozumiale. Na przeszywające go wejrzenie Korwina uśmiechnął się tęskno.

— Słuchaj — powiedział głosem drżącym, z tłumioną boleścią — z utratą Zofii, straciłem wszystko, co tylko istnieć może na świecie jako indywidualne dobro i szczęście człowieka. Spójrz na mnie — mówił dalej wolno, ale dobitnie — mam wszystkie prawdopodobne warunki odpowiednie rozkoszom życia; natura nie poskąpiła mi urody, zdrowia i siły, do używania go w pełni;—był mam zapewniony: a jednak oddziśnia życie moje jest złamane, na drobne zdruzgotane szczątki,—i tak już bezpowrotnie!... Serce obu-

marle, nigdy się już nie zbudzi do prawdziwego użycia wolności swej i siły.

Czuje to — dodał, kładąc rękę na piersi — że dalej żyć już będę jak anachoreta, bezbarwnie, bez celu... bez jutra!

A! nigdy nie myślałem, by Zofia tak rychło mogła zostać żoną innego i mnie wymazać z serca i pamięci!

— Wyborny jesteś, kollego!... uściskałbym twoją pocziwą głowę, gdyby to nie było w cukierni, — z entuzjastycznym uniesieniem zawołał Korwin.

Taki z ciebie kiepski frenolog?... Serce: pamiętać — to, to, to! Pomyśl tylko — mówił, przysiadając na brzegu krzesła, z którego był się już podniósł — te u kobiet kości skroniowe, małe, zakłęsłe, nizkie przysadziste czoła z nadto wydatną kością potyliczną rzadko kiedy świadczy o czem innym niż o rozwinięciu słabem — o małej dobroci; o silnej woli, ale o braku sumiennosci, a wiele o dumie i próżności. Tak, kolleżko, tak! — słabe to są stworzenia, chwiejne — z rybią krwią w sercu, ale z dyabelskim za to ogniem w głowie!... Daruj mi, ale i twoja Zofia, dla której swoje życie łamiesz, nie owiele jest różną od obrazu skreślonych przeze mnie kobiet. Mówię ci: są to plesniaki, zimne majonezy w spożyciu, sprowadzające nieuchronną chorobę, co najmniej już niestrawność.

Stefan uśmiechał się łagodnie, patrząc na komieczną pantomimę twarzy swojego przyjaciela, kurczącej się nerwowymi odruchami, na gniewne błyski małych, głęboko osadzonych oczu, i zazdrościł mu prawie tej głoszonej z przekonania teorii, tej jego swobody umysłu i lekkości serca.

— Nie przyglądam ci się nieufnie: mówiłem prawdę, a nadto dodam jeszcze, że nigdy żadna kobieta nie uwieży mojego serca, by następnie drwić i szydzić z niego. A teraz: idziesz, czy zostajesz? — bo ja nie mam czasu.

— Ty złamany na umyśle i ciele, powracaj do siebie i kładź się do łóżka — zawyrokował stanowczo doktor Korwin — a mnie zostaw kilka adresów; zastąpię cię dzisiaj u chorych.

Na pierwszym piętrze w mieszkaniu państwa B... ruch panował niezwykle. Wnoszono i wynoszono, ustawiano i porządkowano; a sama pani domu niezmordowanie wglądała w każdy szczegół wykonywanych czynności. W poważnym milczeniu przechodziła pokoje, starannie oglądając każdy przedmiot, każdy najmniejszy sprzęcik, a najdrobniejsza niedokładność nie uszła jej wzroku.

Taki robiąc przegląd mieszkania przygotowanego na uroczystość weselną swojej jedynaczki, weszła do salonu.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Korrespondencja zagraniczna.

Poznań w Październiku 1885 r.

Wszystko się składa na zaostrenie już i tak bardzo ciężkich w tej chwili, stosunków materyalnych; wszystko też wytwarza anormalne warunki bytu. Ceny zboża spadły o 25 procent w porównaniu z dawniejszemi; ale mimo to chleb nie staniał, życie łatwiejszem się nie stało; jedne tylko kradzieże w równym niemal stosunku się rozmnożyły, przynosząc dowód nie tylko zniesienia się skali moralności, ale i zjawienia się nędzy, będącej zawsze i wszędzie złym doradcą. Militarizm wszystkie soki żywotne wysysa z państwa opartego na sile zbrojnej. Armia w Prusach tak olbrzymich wymaga podatków i tak kolosalne pożera fundusze, iż gdyby je rozdzielić pomiędzy ludność państwa, każdemu mieszkańcowi, od niemowlęcia nowonarodzonego do starca schodzącego w grób, dostałoby się 9 marek. Nie dziw, że w tych warunkach ubóstwo się rozwi-

możnia. Nie tu miejsce w czarnych kolorach przedstawiać to, co się dzieje w Berlinie i w innych miastach Cesarstwa; dość będzie nadmienić, iż w samym Poznaniu co dziesiąty mieszkaniec otrzymuje wsparcie z magistratu. Były burmistrz miasta, Herse, wielkie położył zasługi pod względem ratowania ubogich i regulowania udzielanej im pomocy. Rozdzielił on bowiem miasto na rewiry powierzone pieczy stu *Armenrathów* czyli radców dla ubogich, którzy czuwają nad oddaną sobie częścią biednej ludności miejskiej. Niestety, ponownie wyborem na to stanowisko wyniesiony, pan Herse, nie uzyskał potwierdzenia bądź dlatego, że zanadto dobrze i zbyt często mówił po polsku, bądź też, że okazuje się zbyt względny, a raczej sprawiedliwym, dla nie-niemieckich obywateli Poznania.

Wspomnieliśmy o zwiększeniu się wypadków kradzieży w Państwie Pruskim; naprowadza nas to na inne wielce wymowne dane statystyczne. I tak, przy niesłychanym zniżeniu się ceny okowity, a naprężeniu stosunków religijno-politycznych, tamujących Kościołowi wpływ na moralność, pijaństwo się rozwiłmożnia, liczba karczem wzrosła o 23 procent, liczba traktierni o 44%. W ślad idzie stale niesłychany przyrost zbrodni. W okręgu sądowym poznańskim przypada jeden skazany na 60 mieszkańców! Nadchodząca zima spotęguje wszystkie ciemne strony obecnego położenia rzeczy, tembardziej, iż wogóle tegoroczne zbiory zawiodły oczekiwania, a przemysł rolniczy, jak wszędzie, tak i w prowincyi naszej, bierze cięgi. W wielu miejscach ziemniaki się psują, nadmiar wilgoci utrudnił siewy, a choćby wszystko poszło pomyślnie, oplakane ceny powszechną ruiną. Nowe ustawy, dla właścicieli korzystne, opóźniają wprawdzie spodziewane w wielu przypadkach sprzedaże konieczne i subhastacje majątków; niemniej w powietrzu zda się drgać nieunikniony dla słabszych upadek. Pessimisci przewidują już zupełną a niedaleką zmianę stosunków, niepowrotne zniknięcie średniej własności. Jedne majątki się rozdrobniają, drugie pochłonięte zostaną przez domeny państwowe lub magnackie fortuny, tak, iż stopniowo powrócimy do latifundyów rzymskich czyli olbrzymich konglomeratów ziemskich obok małych kmięcych zagrod i zagonów, osobście przez właściciela uprawianych. Nie jesteśmy jeszcze zapewne w przededniu spodziewanego przełomu; zagrożeni jednak wszelkich dokładają starań, aby wytrzymać idący nacisk przeciwności. Powiał zewsząd duch oszczędności, uszczupliły się wydatki, podniosły głosy ostrzegające i nawołujące do skromności i pracy. Pojawili się też i wśród Niemców rodzaj kwestyonaryusza, nakształt tak cennych warszawskich; że jednak plemię germańskie mniej ma do walczenia ze zbytkiem kobiet zadawalniających się przeważnie skromną rolą praktycznej *Hausfrau*, raczej więc ku ich małżonkom skierowano rady koniecznej w dzisiejszych czasach oszczędności. Ponieważ wyparty z domów niemieckich zbytek głównie się w niemieckim sposobie gospodarowania i przegospodarowywania przejawiał, pierwsze zatem hasła były następujące: „*Keine Weinrechnung, keine Düngerechnung, keine Maschinenkrankheit*“ sztuczne bowiem nawozy i wątpliwej praktyczności maszyny stanowiły w ostatnich latach najniebezpieczniejszą dla gospodarzy pokusę.

Jeśli Niemcom trudno i ciężko przetrwać obecny przełom rolniczy, to cóż nam mówić, nam, pozbawionym, i tego kredytu, i tego poparcia, jakimi rząd hojnie obdziela swoich? I to już dobre, że wśród tulu niepowodzeń i niepomyślnych warunków jeszcze się coś robi, że widać jeszcze jakieś dowody żywotności i zabiegliwości społecznej. Obywatelstwo nie skąpi grosza na czytelnie ludowe, których etat jednak przy wielkiej ich ilości niezawsze może być z ofiar dobrowolnych pokrytym; tak, parę miesięcy temu musiano podjąć zbiorowe na ten cel wydawnictwo p. t. *Okreżne*. Chęci były dobre, cel szlachetny, ale trudno nie przyznać, iż w owej wiązance mało co na wyróżnienie zasługuje; w niektórych artykułach prowincjonalizm formy smutnie świadczy o skażeniu języka w naszej dzielnicy. Lepiej nie zapuszczać się w szczegóły, aby nie wypowiedzieć ostrej a zasłużonej kryty-

ki. Zwróćmy się lepiej ku innym wydawnictwom, które chlubą umysłem i pociechą sercom przynoszą.

Pisałem wam już nieraz o usiłowaniach podjętych przez X. Józefa Surzyńskiego ku podniesieniu muzyki kościelnej i oczyszczeniu jej z obcych i rażących naleciałości. Założeniem towarzystwa muzycznego pod wezwaniem *S-go Wojciecha*, czasopiśmie poświęconem muzyce kościelnej, kształceniem organistów i publikacyami przerwionymi, walne już usługi ks. Surzyński oddał umiłowanej przez siebie sprawie. Udało mu się nawet tak sobie wywieźć grono młodych chłopców, iż katedra poznańska, w której od początku bieżącego wieku przeważnie najpospolitsza kwitnęła muzyka, rozbrzmiała nieśmiertelnymi dźwiękami mszy mistrza nad mistrze, Palestriny. Nie wystarczało jednak to zwycięstwo dzielnemu szermierzowi piękna w sztuce kościelnej. Korcił go zarzut stałe przez Niemców nam w oczy ciskany, iż nie posiadamy ani polskich mistrzów, ani polskiej muzyki klasycznej. I oto, pośpieszwszy do skarbnicy naszych pamiątek, do Krakowa, X. Surzyński odkrył w archiwach katedry na Wawelu w zbiorach książąt Czartoryskich i innych szacownych bibliotekach, prawdziwe skarby harmonijnego a rodzimego natchnienia, które postanowił wydawać corocznie w ozdobnej i starannej formie pod tytułem: *Monumenta musices sacrae in Polonia*. Chcąc otworzyć swej publikacyi międzynarodowe szlaki, przedmowę i objaśnienia podał, nie tylko w polskim, ale i we francuskim języku. Ze wstępu krytycznie napisanego dowiadujemy się o wartości odnalezionych utworów i doniosłości polskich muzyków z epoki klasycznej. Bardziej jeszcze przekonywająco działa ogłoszona w pierwszym zaraz fascykule monumentów msza Tomasza Szadka z XVI wieku, a nadewszystko *Adoramus te, Christe*, Mikołaja Zielińskiego, dorównujące podobnemu utworowi Palestriny. O Tomasz Szadku wiemy tylko, że był kapelanem przy Kaplicy Jagiellońskiej w Krakowie, około roku 1580. O Zielińskim mniej jeszcze posiadamy wiadomości, choć znajduje się on w poczcie czterech najprzedniejszych muzyków polskich wymienionych przez Starowolskiego; zaszczyt ten jaknajśluszniej mu się należał, oile wnosić można z ogłoszonego świeżo utworu. Czeigodny wydawca z ostatniej do Krakowa wycieczki przywiózł nowy zapas motetów Zielińskiego, oraz arcydzieło Gorczyckiego idące o lepsze z jednym z najslawniejszych utworów Haendla. Wszystkie te odkrycia starczą nadługo, aby zapełniać dalszy ciąg wydawnictwa *Monumentów*. Nadzwyczaj przystępna cena zachęci ogół publiczności do nabywania tych pereł muzyki klasyczno-kościelnej w Polsce, o której dotąd nie mieliśmy prawie wyobrażenia. Jednocześnie ks. Surzyński wydaje podręczniki dla śpiewu kościelnego, w nadziei, iż zdoła wyprzeć ze świątyń naszych fantazje i zboczenia lichych organistów, którzy alterują pierwotną gregoriańską melodyą na rzecz nowoczesnych, zepsutego smaku, fiorytur i treli. Pierwszy tomik p. t. *Laudate Dominum*, obejmuje łacińskie liturgiczne pieśni i psalmy podczas Mszy i Nieszporów. Tom drugi zawierać będzie do sześciuset polskich pieśni zgodnie uharmonizowanych, a świadczących wymownie o zasobach metody, jakie duch twórczy narodu wyprowadzał z siebie, czy-to w formie utworów ludowych, czy też w wyższej już formie dzieł muzyki kościelnej. Odnalezione w archiwach klasztornych starodawne hymny dziś ku nam wracają, niby odgłosy minionych, a niepowrotnych wieków wiary i ofiary...

Bieżący rok nieskapą wiązaną nowości bibliograficznych nam przyniósł. Syn i następca Jana Konstantego Zupańskiego postępuje w ślady zacnego ojca, na wstępie, rozwijając działalność, która dobrą przyszłość zasłużonej firmie rokuje. Z wydanych lub wydać się mających dzieł wspomnijmy powieść Chojckiego p. t. *Praxeda*, niesmaczną, jak wszystkie pomienionego autora utwory, blichtrzem tylko powleczone. *Obrazy z przeszłości* Falkowskiego w czwartym z rzędu snują się tomie. Professor krakowski, Hugo Zathay, wydaje tu swe pisma, wśród których obszerniejsze znajdujemy dwie prace: o *Homerze*

w Polsce i o Panu Tadeuszu. Nie braknie i ksiąg naukowych dla uczącej się młodzieży, i powiastek dla dzieci, i książek dla ludu. Inne księgarnie i drukarnie obfity pod tym ostatnim względem plon nam przynoszą, zwłaszcza księgarnia niezmordowanego Chociszewskiego, który własnym i cudzym miodem karmi proste i świeże a łaknące zajmujących opowiadań umysły. Ukazał się też nowy tom *Złotej księgi szlachty polskiej*. Wspomnijmy jeszcze tom pierwszy *Opowiadań Aera*, świeżo, a przedwcześnie zgasłego pisarza, dalej obszerniejszą biografię s. p. Stanisława Koźmiana, byłego prezesa Towarzystwa Przyjaciół Nauk, która, aczkolwiek w Krakowie wydana, tu w znaczniejszej liczbie osobników się rozchodzi.

Nekrologiczna ta praca zwraca myśl naszą ku smutnym przeznaczeniom co dopiero wspomnianego towarzystwa, które trojaką okryło się w b. r., żałobą. Donosiłem wam z wiosną o śmierci czcigodnego prezesa uczonego grona s. p. Stanisława Koźmiana. Po nim rychło pośpieszył Hieronim Feldmanowski, długoletni strażnik skarbów muzealnych; obecnie zaś po długich cierpieniach zakończył życie konserwator i bibliotekarz Przyjaciół Nauk, Klemens Kantecki. Człowiek ten dopiero trzydziestoletni w krótkim okresie czasu obfite po sobie zostawił żniwo. Pierwszą pracę swą p. t. *Hieronim Savonarola*, wydał w Poznaniu w r. 1872. Po pierwszej dalsze zaczęły się sy-pać jak z rogu obfitości. Najwybitniejszą z nich była obszerna biografia ojca królewskiego, Stanisława Poniatowskiego, przedstawiająca barwnie i zajmująco wybitną a silnie już pyłem czasu przysypaną postać historyczną. Przewodnik naukowy lwowski i *Ateneum* warszawskie zamieszczały chętnie w swych łamach prace s. p. Kanteckiego. Giętki talent pisarski w rozmaite przerzucał się kierunki, bądź ściśle historycznych przestrzegając szlaków, bądź wstępując na późniejsze ścieżki monografii osobistych. Sliczna jego książka o *Grotgerze* dała nam najdokładniejszy wizerunek tego starganego przedwcześnie życia i geniuszu. Rzecz zatytułowana *Dwaj Krzemieńczanie*: Aloizy Feliński i Józef Korzeniowski, nie ustępuje portretom literackim Siemińskiego. Większa rozprawa o *Summach Neapolitańskich* doczekała się niemieckiego wydania w przekładzie Rafała Löwenfelda. A ileż drobniejszych rzeczy rozpięchło się w pismach peryodycznych, które nieboszczyk zasilał swą niespożytą pracowitością! Znamiennym charakterystycznym Kanteckiego była samodzielność talentu nieujętego w ciasne ramy utartej konwencyonalnej metody. Dzisiejsze szkoły dają wiedzy wiele, ale i nieraz zacieraają indywidualność, choć prawdziwie Fidyaszowa pierś nie da się nigdy domiary krawca sprowadzić. Kantecki uniknął tego niebezpieczeństwa, szedł o własnej sile i wspierając się na nauce, sam sobie wynajdywał drogi, po których wielu kroczy tylko za pomocą nabytego lub pożyczanego światła. To też w jego pismach uderza oryginalność i rzutność osobista, przy logiczności poglądów. Z domu snadź wyniósł obfity zasób przyrodzonej inteligencji, która odznacza i dwóch jego braci, zwłaszcza starszego, długoletniego już kierownika *Kurjera Poznańskiego* i znamienitego filologii klasycznej znawcę. S. p. Klemens Kantecki przez kilka lat pełnił obowiązki bibliotekarza Zakładu Ossolińskich we Lwowie, w r. 1881 powrócił w rodzinne strony, aby zająć stanowisko konserwatora Towarzystwa Przyjaciół Nauk, i niestrudzoną rozwijał działalność w klasyfikowaniu i katalogowaniu zbiorów, które pod jego dopiero zarządem otworzyły się dla użytku publicznego. Tyle pięknych owoców krótkiego życia, tyle zapowiedzi wytrwałej i rodzącej pracy, usprawiedliwia żal po przedwcześnie zgasłym na niwie ojczyznej pracowniku.

JULIUSZ BASTIEN-LEPAGE.

(Dalszy ciąg).

Dla młodości szlachetnej, z iskrą zapалу, a zwłaszcza z iskrą natchnienia w piersi, zyska-

na swoboda czynu, rozrządzania sobą i czasem swoim—to już samo w sobie szczęście, i tak było z Juliuszem Bastien, gdy, zerwawszy z zabiegliwą mądrością starszych, znalazł się naraz wolnym i panem siebie. Ale działo się to na bruku wielkiego miasta—i gdzie chleb, choćby tylko powszedni, gdzie dach nad głową? W Paryżu młodzieniec nie miał jeszcze nawet znajomych bliższych, a z natury nie był śmiałym, bo miał szlachetną dumę ubogiego, dumę może najwyższą chłopskiego syna, który nie chce żebrać. Musiał więc zwrócić się do rodziców i wtedy—to matka zaczęła dla oszczędności grosza zginać się w polu nad zagonem, aby co miesiąc posłać synowi tyle choć, aby mógł żyć. Rada departamentu Meuse przyznała mu 600 frank. stypendyum, ale to wszystko, razem wzięte, ledwo dawało ubogie utrzymanie i okrycie jakiekolwiek, a cóż kosztu nauki, farby, modele? Juliusz przecież miał nietylko dumę chłopską: miał i wytrwałość, oszczędność, miał upór chłopski, i nie pusił uchwyconej raz drabiny, na której szczeble wdrapywał się mężnie i ze spokojną pewnością siebie. Umysł jego pozostał swobodnym wśród prób życia; listy pisywane w tych czasach do rodziców, do młodszego brata Emila, świadczą o tem. Są wesołe, czasami dziecinnie puste, jest w nich obok tego wielka tkliwość uczucia dla rodziny, żywe interessowanie się wszystkim, co pozostał w domu. Ludzie, rzeczy, gospodarstwo—zajmuje go zawsze. Pyta o wszystko, chce wiedzieć wszystko, co i jak się tam dzieje? Czuć, że sercem żyje w wiosce swojej, między swoimi, że struna miłości, która oddalonego syna wiąże z domem rodzicielskim, nie obluźowała się w nim bynajmniej przez wrażenia paryżkiego życia, a z tego wszystkiego wybija się razem wielka pogoda młodego umysłu, wielka pogoda uczuć. Jest szczęśliwy: dobił do swego celu, sztuka otworzyła mu swoje Elizeum, a do domu—powracać będzie zawsze na wakacje....

Aż powrócił naraz chory i zrozpaczony. Pierś bolała od pocisku pruskiego, serce bolało ciężiej pod ciężarem upokorzenia Francji, pod żalem rozproszonych snów i ideałów młodości i nieprędko dała się ułagodzić boleść tych dwóch ran ciężkich zarówno. Dopiero z otwierającymi się w 1872 r. wykładami paryżkiej Szkoły Sztuk Pięknych Juliusz znajduje się znnowu między jej uczniami, ale położenie jego jest teraz owiele trudniejszym, bo tam na wsi szło źle, źle jak nigdy. Cała Francja była zubożoną, obdartą, a rodzina jego okolicą ucierpiałą więcej, niż inne strony kraju, bo leżała na drodze najeźdźców i on też chciał teraz dać sobie radę sam, ale przy jego usposobieniu rzecz była trudniejsza, niż dla innych. Chciał zarabiać, rysując dla peryodycznych pism illustrowanych; nie dało się to jednak zrobić przy wyższej i niełatwo do wymagań chwili naginającej się naturze jego talentu, przy nierozdzielnej u niego z natchnieniem poetyczności. Nie mógł zadowolić wydawców, którzy pragnęli tylko rzeczy lekkich: satyry uśmiechającej się ukradkiem do tego, co niby chłopszczyzna, i czemu daje się wabić sama. On nie mógł tego zdobyć na sobie, wolał pracę na prosty zarobek; zaczął malować wachlarze i kwiaty; stworzenia skrzydlate, czasem jakiś profil młodej twarzyczki, sy-pały się obficie i wdzięcznie z pod ręki młodzieńca, któremu wziętość, zyskana w kole tej praktyki spowodowała niespodziewanie obstalunek o szerszych rozmiarach: duży obraz alegoryczny, przedstawiający fontannę wiecznej młodości,—z którejby płynął kosmetyk, mający konserwować w nieskończoność płeć pięknych pań!.. Młodzieniec obruszył się zrazu, ale potrzeba go przyciskała, rodzicom niebyłoby za nic wyciągał zasobów ostatnich i zgodził się na fontannę młodości, ale z warunkiem, że wolno mu będzie dać jej otoczenie własnego pomysłu. Fabrykant kosmetyku przystał na to i artysta, dla którego sam fakt malowania był już rozkoszą, wymalował jasny, wesoły krajobraz wiosenny w rodzaju Watteau. Piękne młode panie, strojne, uśmiechnięte śpieszyły do fontanny młodości, wkoło której igrały skrzydlate dzieciaki figlarne amorki, rzucając na siebie kwiatami. Juliusz zażądał od kupca, aby pozwolił mu dać pierwiej obraz na

wystawę. Ten, naturalnie, nie bronił, ale z warunkiem, aby artysta wymalował w górę tęczę, a na niej nazwę kosmetyku i adres, gdzie się sprzedaje. Juliusz odmówił, kupiec nie odebrał obrazu, więc młody jego twórca dodawszy mu tytuł: *Wiosna*, posłał go na wystawę—gdzie na nie-szczęście powieszono go w złym świetle i tak wysoko, że nikt go nie spostrzegł i nikt nie wspominał o nim.

Było to w r. 1873. Młodzieniec przez silne uczucie patriotyczne zbliżał się do allegorycznej szkoły Puvis de Chavanne, ale istniało w nim i uczucie drugie, które było może częścią pierwszego: miłość swojej wioski, miłość wiejskiego ludu, natury sielskiej. W r. 1874 wystawił kraj-obraz swoich stron rodzinnych: skraj lasu w chwili pęknięcia drzew i siedzącą pod jednym z nich dziewczynę wiejską, której oczy patrzą zadumane i tęskne ku widniejącej w dali wiosce, a w tyle tuż poza nią, małe gieniuszki grają jakgdyby na fujarkach, dmąc w zielone młode trzciny. Podpisał to *Piosenka wiosny*, a choć obrazek był przesliczny, nie zepsuty już przez konwencyonalność przedmiotu, pełen wdzięku i poczucia piękna w naturze, publiczność paryżka byłaby go minęła tak obojętnie, jak zeszłoroczny, gdyby inny nie znajdował się obok. Portret dziadka to był, malowany z pamięci, a przedstawiający starego na drewnianym krześle w ogrodzie, z tabakierką i kraciastą chustką na kolanach, z twarzą wesołą, ze wzrokiem nieco przebiegłym i rozumnym jasnych niebieskich oczu, z uśmiechem lekko złośliwym—typ wieśniaka czysto narodowy, oddany z uczuciem, z miłością jakąś poezią, która mimo realności w traktowaniu rzeczy opromieniała siwą głowę włościanina, pociągając do siebie ludzi. Tłoczono się wkoło niego i nazwisko Juliusza Bastien, stało się odrazu głośnem, a szczególnie sympatycznym dla publiczności. Otrzymał medal, wprawdzie trzeciej klasy, ale i to jest rzeczą nie małą wśród ścisłu wystawców z całego świata: to też artysta wyróżnił się już z tłumu, a człowiek wyrobił sobie miejsce na słońcu, przy którego promieniach mógł się już ogrzać.

Wtedy-to Theuriet poznał go osobiście i opisuje że był to jakgdyby chłopiec jeszcze: nie wysoki, ubrany bardzo skromnie, mizerny, blade, ale zbudowany muskularnie, jasno płowy blondyn. Taki też płowy wąsik ocieniał ładne usta, oczy były niebieskie, patrzące jasno, prosto. Był w nich—pisze Theuriet—wyraz ucziwej, czystej duszy, był wyraz silnej woli; nierzadko strzelał z nich blask gorącego zapалу, a często i wesołość młoda. Byli z jednych stron, poznali się też i za-przyjaźnili ze sobą, a że Theuriet należał już i wtenczas do wyższych sfer literackich, Juliusz żyjący aż dotąd niemal samotnie, został pociąg-nięty w świat i to w świat szlachetny intelligen-cyi i myśli wyższej. Ze przytem rząd zakupił jego *Piosenkę Wiosny* do galeryi państwa, był to już i grosz zyskany—czasy próby, biedy minęły!

Następna wystawa przyniosła ogólnejsze potwierdzenie pierwszego wyroku publiczności. Artysta dojrzał w obrazie: *Dziewczyna idąca do komunii*, materyał na mistrza; Juliusz, który to słyszał i czytał o sobie, stanął też między ubiegającymi się o tak zwaną *nagrodę rzymską*, to jest o nagrodę, która daje stypendya na kilkoletnie studia w Rzymie. Przedmiot na rozpisany konkurs był obmyślany, jak dla niego: „Anioł ogłaszający pastierzom narodzenie się Dzieciątka Jezus.” Głos ogółu twierdził też, że zwyciężył, że obraz jego malowany z talentem miał nad innemi wyższość wdzięku i poezji w traktowaniu anioła i pastuszków, oraz planów dalszych z cudowną gwiazdą na niebie i zorzą, która świeci nad Betleem—Przecież nagrodę wziął kto inny, starszy, więc potrzebujący pilniej dokończenia edukacji artystycznej, jak się tłómaczono. Ale pokrzywdzony uczuł się dotkniętym, nietyle osobiście, ile ze względu na rodziców, którym za tyle poświęceń, za tyle braków i trudów poniesionych dla niego, chciał przy-nieść nagrodę tej uciechy, że mają syna sławnego. Była to pierwsza gorycz, której się dopił z kielicha życia: bieda go nią nie poila, bo był wyższy nad zawiść, nad uczucie zazdrości dla innych, posiadających, gdy jego ręce były puste. Ale teraz wyrządzono mu niesprawiedliwość, i była

DROBNE LISTKI.

to znów rana, którą leczyć potrzebował u domowego swego ogniska, ale, na szczęście, ta była lżejsza i nie odbiła się na jego organizmie, tak głęboko, jak tamta: nie zostawiła po sobie złych skutków, sprowadzając, przeciwnie, pewne energiczne wstrząśnienie. Potrzeba mu było tylko skąpać się znowu w tych samych wodach cudownych, które go uczyniły sztukmistrzem z Bożej łaski, i on sam to czuł, jak pisał w liście do przyjaciela: „W Paryżu nauczyłem się rzemiosła mego, ale nie tam nauczyłem się sztuki mojej!...” Zapewnia też, że na wsi nie chce zapomnieć i nie zapomni tego, co wyniósł z Paryża, ale że obecnie potrzebuje wrócić do wsi, bo tam są jego wzory, tam jest wzmacniające go, zdrowe zetknięcie z naturą i prostymi, spokojnymi, pracowitymi ludźmi. Do korzyści wyniesionych z Paryża zaliczał to, że konwencjonalna i lekka, manierowana sztuka tamtejsza rozbudziła w nim żywsze pragnienie sięgania głębiej w piękno natury i ducha ludzkiego: dobierania się do droższych skarbów człowieczeństwa. Odwiedzano go tam w wieśniaczym domu jego rodziców, gdzie przyjaciele syna byli zawsze przyjmowani gościnnie i gdzie im dobrze było. Theuriot, opisując to otoczenie głośnego już wtedy, już wtedy sławnego malarza, otoczenie włościańskie, mówi: „Widziałem jaką czuła i silna zażyłość łączyła ze sobą członków tej rodziny.” Matkę wyróżnił niemniej nad innych: „matka to, tak żywa, tak kochająca, tak poświęcona—najlepsza matka, jakiej można życzyć sztukmistrzowi.”

Przytem brat był już teraz przyjacielem i towarzyszem, takim też, jakiego „można życzyć sztukmistrzowi.” Obdarowany również iskrą artyzmu, kształcił się w Paryżu na architekta i było to razem szczególne ognisko domowe włościańskie, gdzie w słodkim zjednoczeniu miłości utalentowani i sławni synowie, zasiadali razem obok prostych rodziców, szanowanych, i co najwięcej, nie pozbawionych nigdy słodkiego obcowania z dziećmi swymi. Gdyby to nie była rzeczywistość świeża jeszcze, więc niezaprzeczalna, pióro kresliłoby rysy takiego obrazu z obawą, aby nie krzyknęło, że to rzecz sprzecząca się z prawdą życia.

Juliusz przybywał często do Paryża i miał tam nawet stałą pracownią swoją, ale malował poważnie na wsi, u źródła, z którego czerpał natchnienie do wszystkich swych kreacji: zamierzał sobie przedstawić całą seryą prac wieśniaczych i wszystko to razem nazwać: *Wiesć, Joanna d'Arc* jeszcze wieśniaczka sercem i suknią, w chwili, gdy cudowna jej misja objawi jej się, występując do niej z głosów jej ojczystej przyrody—to był drugi jego ideał, noszony w wyobraźni od lat chłopięcych. Chrystus w grobie, także płótno wielkie, przeznaczone do parafialnego kościoła jego wsi, stanowiło trzeci jego pomysł artystyczny, należący do tych stałych postanowień artysty, w których chciał zamknąć to, co pragnął wypowiedzieć ludziom od siebie.

Pierwsze w kolei wykonania, *Sianożęcie*, przyniosło mu już to powodzenie, które bierze nazwisko sławy, choć, jak każda sława, otrzymywaną, spotykało się ono z głośnie i zaciętą opozycją. Wiesniak wnosił tu w świat sztuki nutę nową, nieznaną dla większego ogółu sztukmistrzów, jakkolwiek była rodzimą,—nutę świeżą, zdrową i czystą, naturalną, choć bynajmniej nie naturalistyczną i musi też spotkać się z zaprzeczeniem sobie miejsca, z gniewem prawie, który budziła jego różność, jego odrębność. „W sali, gdzie wielki ten obraz (*Sianożęcie*), został zawieszony między innymi, „sprawiał on wrażenie jakgdyby świeżego powietrza i ciepła słonecznego”—pisał Theuriot, dodając: „powiedziałabyś, że to jest okno otwartą naturą.” Że zaś obecna sztuka francuz-

ka bardzo odbiegała od natury, pojętej czysto i poetycznie, opozycya więc w uznaniu piękna tego sielskiego obrazu była wielką, przecież przemogło uczucie artystyczne, tkwiące mimo to wszystko w piersi francuzkiego narodu—w jego wyborowej i intelligentnej części. a gdy jeszcze dał się widzieć z kolei *Październik*, czyli *Kopanie kartofli*, obraz mimo zamglonych już tonów i melancholii jesiennej, pełen ciepła i pogody, powodzenie stało się takim, że ani zawistni, ani akademicy zaprzeczyć mu nie mogli. Złączyło się z nim i wielkie powodzenie pieniężne; syn chłopski, jak w bajce, której słuchał niegdyś przy rodzinnym kominie, mógł mierzyć złoto i srebro na kwarty!...

Wtedy też, jak w bajce, która na zakończenie każe bohaterom swoim pić miód i wino, Juliusz przywiózł gwałtem matkę i dziadka do Paryża, aby ich ugosić, ufetować, oddać im choć w części to, co oni mu dawali nie tylko w najtkliwszej miłości serca, ale w gorącym pocie czoła, w ofiarach, opłacanych odejmowaniem sobie chleba od ust. Ojciec już nie żył wtedy, ale matka i dziadek zostali gwałtem sprowadzeni do Paryża w lecie 1879 r. Wozili ich i prowadzili po bulwarach i przechadzkach modnych, po najparadniejszych restauracjach i cukierniach, po teatrach. Matkę zawiózł raz do wspaniałego sklepu i kazał rozrzucić przed nią sztuki najdroższych jedwabów. Kobięcina widząc przed sobą pyszne materje, które stały same jak róg, była olśniona, nie wiedziała co wziąć, nie chciała wziąć nic, ale on nie pozwolił na to. Jak dawny mały Julek, wołał, że „mama” musi coś wybrać koniecznie, i tak żądał, aby pokazywano jeszcze, jeszcze, że rzeczywiście musiała koniecznie zgodzić się na coś, i kupiono całą sztukę przepysznego czarnego atlasu. Podobnie było z dziadkiem. Ziewał on na operze, ale musiał odsiedzieć swoje godziny w łożu pierwszego piętra, a gdy Juliusz sprowadzał go potem, podając drugie ramie matce, ze wspaniałych, jaśniejących jak w dzień schodów, miał wyraz twarzy tak dumny, jakgdyby ta para włościan czyniła mu przez obecność swoją zaszczyt najwyższy w oczach patrzącego na nich tłumu.

Nieraz zapewne zwilżyła się wtedy łza szczęścia tak oczy matki, jak oczy dziadka. Wątpić o tem nie można; przecież prawie szczęśliwi uciekali z Paryża do domu, odjeżdżając wagonem pierwszej klasy i odprowadzeni na kolej przez pierwsze znakomitości artystycznego świata paryzkiego, będące teraz przyjaciółmi ich Julka. Co cukierków wiozła ze sobą matka, w jakie cygara został zaopatrzony dziadek!...

Zaraz na drugi dzień po ich odjeździe Juliusz wyjechał do Londynu, gdzie był wezwany dla wykonania portretu księcia Walii. Wywiózł z Anglii bajeczne summy pieniędzy, bo cała arystokracja cisnęła się do niego, to o portrety, to o obrazy, które zamawiano tłumnie. Otrzymał obok tego w miesiącu Lipcu Krzyż Legii Honorowej, i gdy tylko mógł przypiąć sobie do sukni czerwoną wstążeczkę tego orderu, natychmiast zabrał się z Paryża i wyjechał na wiesć, wyjechał do swoich. Czuł, że to ucieszy, zwłaszcza dziadka, więcej niż wszelkie używanie zbytku paryzkiego, a i on sam potrzebował odpocząć i co więcej, otrząsnąć się duchem z tych wpływów wielko-swiatowych, które nie przypadły mu do serca—chłopskiego syna!

Marzył teraz o najwyższym swem arcydziele, odsunawszy też na później zamówienia, nie powrócił na zimę do Paryża, urządził sobie na poddaszu rodzinnego domu pracownią i zabrał się do obrazy Joanny d'Arc—chłopki lotaryńskiej...

(Dokończenie nastąpi)

— **Grobowy pomnik Gracyi Darling**, bohaterkiej dziewczicy angielskiej, która w 1838 r. uratowała wśród burzy życie załogi okrętu *Forfarshire*, został odnowiony kosztem składkowym Narodu Angielskiego. Córka strażnika latarni morskiej na małej, dzikiej i wcale niezamieszkałej wysepce przy brzegach Północnej Anglii, przebywająca tam od dziecka, ujrzała raz o szarym jeszcze świetle dnia okręt walczący z falami ostatkiem już sił, i zbudziwszy ojca, za którego pełniła służbę nocną, rzuciła się heroicznie w łódź, a walcząc z wichrem i bałwanami, uratowała, głównie własnymi siłami, nieszczęśliwych, których biorąc na łódź swoją już opadłych z sił, przewoziła kolejno na wysepkę. Królowa Wiktoria była wówczas młodą, dziewiętnastoletnią dziewczyną i wzruszona bohaterskim czynem Gracyi, zapragnęła ją poznać, wezwała do siebie do Londynu i, nie tylko wezwała jej zdwojoną nagrodę za ocalenie tonących, ale, jak przyjaciółka przyjaciółki, posadziła do swego stołu i jadła z nią obiad tylko w towarzystwie wyłącznym matki swojej, księżny Kent. Po obiedzie, żegnając się z nią, zawiesiła jej na szyi złoty łańcuch z kosztownym zegarkiem, odziała jej ramiona najdroższym ze swoich indyjskich szali, a wreszcie pochyliła się—i ucałowała ręce bohaterki!...

Choć żartowano niejednokrotnie z sentymentalności tej pani; ma ona jednak w piersiach niewątpliwą iskrę szlachetnych uczuć, które ją czynią niezawisłą od berła i korony, dostojną, pięknego ducha kobietą. Obecnie królowa Wiktoria zapisała się pierwsza na liście składek dla odnowienia pomnika Gracyi Darling, który był niegdyś wzniesiony na cmentarzu *Bamorough* kosztem państwa. Gdy grzebano jej zwłoki, z baterji portowej bito z działo, jak przy pogrzebie wyższego dostojnika marynarki angielskiej, w której służbie Gracya zostawała też do końca, bo gdy ojciec umarł, potwierdzono ją na niespełnianym nigdy, ani przedtem, ani potem, przez kobietę, urzędzie strażnika latarni morskiej, i umarła na nim młodo. Aby nieopuścić ojca wdowca, którego była jedynym dzieckiem, Gracya skazała się o zaraniu życia na pustelnicze obok niego istnienie, i nawet odrzuciła dlatego miłość drogiego jej człowieka, a trzeba dodać, że ojciec ten, dawny marynarz, był szorstkim despotą i egoistą. Gracya obłaskawiała sobie na dzikiej swej wyspie mewy, które chowała, jak gołębie; ogródka urządzić jej się nie udało, dla surowego klimatu i skalistego gruntu wyspy, tylko hodowała w doniczce różę alpejską, jedyną roślinę, jaka na tej wysokości, w której zamieszkiwała, utrzymać się mogła. Różę tę przywiózł z dalekiej podróży człowiek miły jej w wiosnie życia, a którego dobrowolnie się wyrzekła. Dzieje życia tej kobiety: to jak bajka romantyczna. Okno kolorowe, które, starym obyczajem angielskim na jej pamiątkę zostało umieszczone obecnie przy restauracji nagrobka w parafialnym kościele *Bamborough*, historją jej przedstawia.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 13-ty i 14-ty powieści pod tytułem: **Kora**, przez Mrs Forrester.

TREŚĆ. Teresa Russanowska, (Wspomnienie), przez Maryą Ilnicką.—Rzym, (poezya), przez Szczęsną.—Bez serca, obrazek z życia.—Korespondencya zagraniczna, Poznań.—Juliusz Bastien-Lepage, (dalszy ciąg), przez M. Ilnicką.—Drobne listki.
Dodatek obejmuje: Arkusz 13-ty i 14-ty powieści pod tytułem: **Kora**, przez Mrs Forrester — Przegląd mód. — Wzory ubiorów i robót wraz z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycją stołu.

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 26.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 23 Октября 1885 года.

DODATEK DO BLUSZCZU

Nr 44.

PRZEGLĄD MÓD

Kapelusze. — Fasony. — Czem się przybierają? — Pióra, ptaki malowane w fabryce piór pani Gliwie. — Kapelusze pani Dumay i Trzeińskiej. — Wstążki wełniane. — Wielka fabryka kapeluszy filcowych pana Lotha. — Kapelusze haftowane. — Patent. — Wynagrodzenie ofiarowane. — Suknie malowane. — Panna Bronisława Malinowska. — Wielki magazyn gotowych kostiumów pani Anny (róg Marszałkowskiej i Próżnej). — Jak się urządzają suknie z materiałów drogiej w sznelowe pasy u pana Makowskiego znajdujących się.

Oryginalność form, którą odznaczały się wiosenne i letnie kapelusze, charakteryzuje także kapelusze zimowego sezonu. Utrzymały się niektóre fasony letnie z małymi odmianami, do których zmiana pory nakłania. Jest naturalnie mniej fantazyi i lekkości w formach i przybraniu, mniej jasności w kolorach, a materiały użyte muszą być ciężkie. Aksamit bywa szczególnie używanym na kapotki, a do przybrania pióra różnego koloru i gatunku, o których powiemy poniżej. W ogóle kapelusze co do fasonu, dzielą się na dwie kategorie: małe kapotki i okrągłe kapelusze. Kapotki są mniejsze i większe, z główką okrągłą lub płaską, z rondkiem przystającym do głowy lub spiczasto podniesionem nad czołem, tak zwane „becs“ i „bébé“, pokryte najczęściej aksamitem, lub materiałem odpowiednim do kostiumu, fałdowanym lub gładkim. Jeżeli jest dany gładko, to najczęściej naszywają

się kapotki dzetowemi, kolorowemi lub metalowemi blaszkami, tworząc z tego trzy listki, kwadraciki, spiczaste guziczki, w połączeniu z drobnemi, okrągłemi lub szlifowanemi perełkami. W okół kapelusza używają blaszek w kształcie pół księżyców, strzątek, sześciąt i t. p.; do przybrania kapeluszy w pół-żałobnych odpowiednie są, czarne matowe perełki. W ten sposób można odświeżać noszone kapelusze aksamitne, bo nawet używany aksamit, naszyty ładnie perełkami, wygląda jak świeży. Do przybrania kapeluszy najczęściej używają piór strusich, rzadko jednak samych, lecz najczęściej mieszanych z czaplemi, orlemi, lub rajskiego ptaka, oprócz tego skrzydełek metalo-

wanych lub dzetowanych, ptaszków fantazyjnych, egretek i agrałek różnego rodzaju.

Właśnie oglądaliśmy wyroby z piór w fabryce pani Gliwie (Senatorska Nr 20), gdzie jak zwykle, znajduje się wielki dobór bardzo ładnych rzeczy, na przykład: ptaszek brązowy cały fryzowany, lub czarny bez fryzowania, z ogonkiem stojącym z marabutów pasowych. Malowanie tak wszędzie jest dziś zastosowane, że i ptaki mają ogonki malowane i tak: pasowy ptak zwany „sangara“, z ogonkiem podniesionym jak kitka, z malowanemi na piórkach różami. Pióra malowane w oczy pawie, rajskie ptaki naturalne do amazonek, które zawsze są podstawą okrągłych kapeluszy w rozmaitych odmianach. Pokazywano nam duże pióra strusie w dwóch kolorach przepołowione, na przykład: oliwkowy i różowy, lub tak zwany „mastique“ gliniany i „elétrique“ — pióra takie kładzie się wierzchem na środek kapelusza. Równie ładnie zdobią takie pióra położone przez środek, owe wysokie kapelusze, ze spiczastą główką lub tak zwane „tricorne“. Głównie jednak do wszystkich wysokich kapeluszy używa się egretek, czyli czarnych dzetowanych piór — piórka ta nie mają mnóstwo odmian, są na przykład nakrapiane w rybią łuszkę, są nawet ptaszki całe, nakrapiane różnokolorowym metalem. Do ozdoby kapotek służą głównie tuffy z piór ułożone jakby puzysta róża, tak okrągło ułożone ubranie z piór, stanowi całą ozdobę kapotki. Do nowości zaliczyć muszą białe mewy ze zgitym łepkiem i podniesionemi w górę skrzydłami, które prześlicznie zdobią wyroby filcowych kapelu-



Nr 1. Okrycie zimowe.

Nr 2. Kostium zimowy.

szy fabryki pana Weigta, premiiowanej na Wystawie przemysłowej. U pani Gliwic widzieliśmy dalej wspaniałe oszycia z białych piór fryzowane, do okryć balowych, lub czarne i sobolowe oszycia, nie fryzowane do okryć i lżejszych futer.

Kapelusze okrągłe noszą się szczególnie filcowe, jednak oprócz aksamitnych, które zawsze są mniej więcej modne, bywają i pokryte odpowiednim do kostiumu materiałem; główki u wszystkich fasonów wysokie, upięcie skupione z przodu, nieco na lewy bok, także bardzo wysokie, składa się zwykle z aksamitu, z szerokich rzymskich wstążek mieszanych ze złotem,

mowało prosty daszek, objęte było aksamitem, główkę otaczało plisowanie z jedwabnego fryzowanego materiału, tak miękkiego, jak miękka wełna. Z przodu trzy piórka strusie, wysoko upięte, prawie nad główką i jedno duże stojące dżetowane. Kapelusz był śliczny, a miał tę wielką zaletę, że cena nie była przesadzoną.

Magazyn pani Trzcńskiej (Czysta Nr 4), ma odrębną zupełnie specjalność: robi kapelusze, to jest kapotki dla osób starszych, a wiemy z doświadczenia, że przy dzisiejszych fasonach, bardzo trudno dobrać kapelusz właściwy, a jednak do twarzy dla osoby nie młodej. Otóż u pani Trzcńskiej, która ze wszech miar zasługuje na poparcie, bo oprócz dobrego gustu i cen przystępnych, zajmuje u siebie biedne sieroty, widzieliśmy oprócz okrągłych, ubranych filcowych, śliczne kapotki aksamitne, trochę większe, między niemi bronzowa, z ranwersem ze szneli i złota, przybrana piórkami i wstążką aksamitną ze złotem, bardzo nam się podobała. Druga czarna, z ranwersem z koronki z modnych perełek ołowianych „plomb“ i dużym tufem z piór tegoż koloru, pod spodem mały ptaszek ze świecącym skrzydłem, brydy były z najmodniejszej dziś wstążki popielatej wełnianej z brzegiem jedwabnym i aksamitnym. Jest to ostatnia nowość w dziedzinie wstążek — wełna sama w przerabianym desenie, lub w pasy złote i różnokolorowe. Czy takie brydy mile do wiązania — nie wiem, bo grube, ale że modne, więc fabryki francuskie każą sobie za nie bajecznie płacić tak, iż łokieć takiej wstążki jest w cenie od 80 kop., do rubli 1 kop. 80.

Wszystkie takie modne nowości paryżkie pokazywano nam w fabryce kapeluszy filcowych pana Lotha. Nie mieliśmy wyobrażenia, jak rozległa jest ta fabryka! — dla dania malutkiej próbki, powiemy, iż gdy w zeszłym tygodniu wysłano do Petersburga 60 tuzinów ubranych kapeluszy, przeważnie filcowych okrągłych, nie znać było ubytku w składzie. Otóż pan Loth w ciągłym rozwoju swoich filcowych i słomianych wyrobów, doszedł do wynalezienia maszyny haftującej kapelusze, tak jedne jak drugie. Z ciekawem zajęciem oglądaliśmy te śliczne wyroby — ścieg jest zwyczajny łańcuszkowy lub pluszowy: Pierw-

szym haftuje maszyna na całym kapeluszu ciągłymi deseni, lub też liście, muszki, rzucik i t. p.; drugim pluszowym, wypukłym, haftuje się na szerokość 12 cent. obłożenie na kapeluszu, naśladujące ów dziś tak modny, miękki materiał, astrachan jedwabny, fryzowany, lub też deseni szeroki, arabeskowy, obwiedziony złotą nitką. Ostatnie dwa rodzaje są śliczne. Najpiękniejsze otoczone takim tryzowanym szlakiem, z jedną stojącą egretką, lub zdobny kilkoma stojącymi puklami wstążki wełnianej, bo w ogóle takie haftowane kapelusze, bardzo mało potrzebują przystroju — haft jest ich główną ozdobą. Kapelusze te w najrozmaitszych odcieniach modnych kolorów, znaleźć tam można, ale chcąc wszystkie rodzaje ich widzieć, należy się udać na piętro, gdzie rozłożono ich przed nami stopy całe, w cenie od 12 rubli za tuzin, do 48 za tuzin; kapelusze filcowe bez

ubrania, które fabryka na prowincję i do cesarstwa wysyła ciągle. Owe 12 rublowe są z samej wełny i to grubej; droższe, mają w sobie, w miarę wyższej ceny, coraz więcej włosa zajęczego, który jest preparowany u nas w sposób wyborowo dobry. Otóż maszyna pana Lotha otrzymała patent, a że to nowość, nie znana jeszcze nawet w Paryżu, więc na zagranicę ofiarowują za patent ów, już 10 tysięcy rubli; oddzielnie zaś Anglia chce go nabyć także za wysoką summe. Już to wszelkie wynalazki opłacają się dziś sowicie; mojem zdaniem warto by było propozycję czynionych nie odrzucać bo moda jest w każdym zastosowaniu swoim prze-



Nr 3 Kostium spacerowy.



Nr 4. Kostium spacerowy.

a w kolorach „terra-cotty“, lub wypełzłych zielonych i pasowych, z których układają się duże stojące kokardy. Mniej tego roku nosi się czarnych kapeluszy, a więcej w kolorach ciemnozielonym, szaro-niebieskawym, „terra-cotta“, „bordeaux“ i t. p.

Prześliczne kapotki widzieliśmy u pani Dumay (Czysta Nr 6), czarna aksamitna, przybrana egretką ze stałą i tufem piórek strusich, czarna, z wierzchu przybrana koronką ze złotą nitką i kilkoma ptaszkami. Ale najładniejsze były dwa okrągłe, fantazyjne kapelusze: jeden brązowy pokryty aksamitem, podniesiony bardzo z jednego boku, od którego przechodziło duże pióro brązowe, zakręcone ku tyłowi; z przodu ozdoby złote i pukle z aksamitu. Drugi był czarny ze świecącego filcu męskiego, jak materiał ten nazywają, nie zbyt wysoka główka śpiczasta; rondko, które z przodu for-

ściową rzecz, a zatem maszyna haftująca kapelusze, nie może mieć wielkiej przyszłości. Przecież na wiosnę ta haftująca maszyna będzie zdobić kapelusze słomiane, z powodzeniem nie mniejszem.

Oprócz filcowych haftowanych, znajdują się u pana Lotha na 1-em piętrze, modele pierwszorzędných firm paryżskich: jak Viot, Hofele, Michniewicz. Między widzianymi tam, śliczna była kapotka szara aksamitna, koloru „ma-stique“, na dwie strony w plisowany wachlarz się rozchodząca, w środku węzeł przepięty spilką złotą, gładką, długą 15 centimetrów; na to spada piórko, brydy wełna z aksamitem. Drugi, śliczny kapelusz, był pasowy, przybrany z samego przodu wysokimi puklami ze wstążki złotej z pasowym i ubraniem z aksamitu w stojące jakby rogi śpiczaste. Inny znów był popielaty, główka ułożona w trzy kontrafałdy

przód otaczała drobna girlanda świecąca, trzy cieniowane pióra zdobiły wierzch kapelusza.

Wyczerpawszy kwestyą kapeluszy — wracamy do sukien, w których nie ma i nie może być wyczerpania, tyle zawsze jest nowości i odmian. Otóż największem dziś upowszechnieniem mało znanej mody, są suknie malowane; pisaliśmy już o nich przed rokiem, kiedy pierwszy taki model paryzki ukazał się u pani Thones. Dziś gdy malarstwo stosowane do przemysłu, jest u nas licznie reprezentowane przez kobiety, które z gustem umieją władać pędzlem, niepotrzebujemy już szukać paryzkiej rzeczy, bo panna Bronisława Malinowska (Bednarska Nr 23), obdarzona medalem na ostatniej Wystawie ogrodniczej, zajmuje się

kraju, rozchodzą się liczniej, niż bardzo strojne, bo na strojną suknię rzadko się zdarza okazy, a nawet przy okazji widzimy obecnie bardzo mało wykwinnych tualet, więc tu prostota materiału i odrobienia, przeważnie cechuje dzisiejsze tualety. Stosując się też do tego, nowy ten magazyn przyjął gust angielski, który nie dozwala na przeładowanie dodatkami, ani oryginalne pomysły w upięciach. Wszystkie tam widziane kostiumy, były śliczne, a różność fasonów i materiałów tak wielka, że każdy sobie do gustu coś dobrać musi.

Gdy idzie o strojnieszkie suknie, zawsze z wełną mieszane, to trzeba wybierać u pana Makowskiego: dyagonal lub pekin w sznelowe pasy, zwany „railvay“, na przykład: na tle

bocie, przeniosła się z hotelu angielskiego, na ulicę Niecałą — polecamy ją naszym paniom, jako osobę na to zasługującą.

L. C.

Opis rycin mód.

Okrycie zimowe. Rycina Nr 1. Okrycie zimowe z pekinowego materiału, w kolorze brązowo-mchowym. Przybranie z aksamitu i gretlotki sznelowe, dobrane do koloru, ale nieco



Nr 5 — 8. Ubrania dla młodych panienek.

malowaniem na materji, atlasie, aksamicie nie tylko mebli, ale i sukien, które w wełnie maluje się olejno, co mimo to, sprawia efekt bardzo miękki, jakby te farby nie były olejne. Na materji, ale tylko na materji, maluje się gwałtem, lub farbami wodnymi. Maluje się u sukien przód, lub jeden bok, kołnierz i mankiety; że to zdobi, że to ładne być może, rzecz pewna, jednak zastosować się to daje tylko do sukien strojnych, a że dziś nietylko ekonomiczne nasze stosunki, ale i moda mieć chce, abysmy wełnę nosiły — jedwabie się już mało nosi — więc i na wełnie trzeba będzie malować.

Pani Anna Brzeska, otworzyła róg ulicy Marszałkowskiej i Próżnej, skład gotowych kostiumów praktycznych — codziennych, które zawsze, a szczególnie przy obecnem położeniu

„olive“ paski pół centymetra szerokie w odstępkach, koloru pąsowego, ciemno-zielonego i szafirowego — z takiego materiału daje się zwykłe bok i garniruje stanik — reszta z pekinu gładkiego w odpowiednim tonie. Robią się także spódniczki, to jest dół na fałszywym spodzie z tego materiału, kamizelka, kołnierz i mankiety, tiunika i stanik zawsze z gładkiego. Jeżeli zaś materiał jest w supelki, kratkę lub szlaczek, wtedy spódniczka robi się zawsze gładko, a vetement, lub stanik i draperya z materiału w desen.

Czytelniczkom naszym donosimy, iż pani Helena Roszkowska, posiadająca skład bardzo dobrych wyrobów trykotowych, z fabryki pani Sarnowicz, oraz wszelkie dodatki do sukien i drobiazgi potrzebne kobiecie przy każdej ro-

ciemniejsze. Kapotka aksamitna tegoż koloru, z cieniowanymi piórami. Brzeg karczka obłożony koronką haftowaną kremowym jedwakiem.

Kostium zimowy. Rycina Nr 2. Pierwsza spódniczka plisowana atlasowa. Tiunika suto drapowana z aksamitu wyciskanego, stalowego koloru, podpinana węzłami czarnego aksamitu. Wizytka z popielatego aksamitu, obłożona astrachanem popielatym, z którego i fanszonik. Kapotka z aksamitu, przybrana wstążką wełnianą koloru ognia — żółto ognisty — brydy aksamitne.

Kostium spacerowy. Rycina Nr 3. Pierwsza spódniczka z sukna zielonego ciemnego — oszyta szlakiem haftowanym sutaszem i dzetowami perełkami. Tiunika udrapowana sukieną z haftowanym końcem; puff ułożony z pukli

aksamitnych i sukiennych. Stanik sukienny z kamizelką haftowaną, widoczną tylko z jednej strony; kołnierzyk haftowany. Kapelusz zielony aksamitny, spuszczonej z jednej strony, z drugiej podniesiony, brzeg otacza trzy rzędy zielonych perełek. Szarf z „surah“ blade-różowego, otacza główkę, z przodu tuff piór zielonych.

Kostium spacerowy. Rycina Nr 4. Spódnica z pekinu w popielate i czarne prążki. Tiunika i puff z welny popielatej wrzucik pluszowy czarny. Kaftanik z aksamitu „ottoman“ popielatego — ubrany galonem popielatym w adamaszkowy desen jaśniejszy. Kapelusz czarny aksamitny, przybrany galonem i draperią, zastosowaną do kaftanika.

Kostium dla młodych panienek. Rycina Nr 5. Pierwsza spódniczka z jasnego ottomanu, przybrana ukosami z aksamitu pekinowanego w zielonkowo. Tiunika podpięta w kształcie fartuszka, z ottomanu gładkiego koloru skóry duńskiej; kamizelczka z aksamitu pekinowanego, z wylogami koloru skóry, otwarta na szmizetce „surah“, ozdoby dobrane do koloru ranwersów. Kapelusz filcowy zielonawy, przybrany ottomanem koloru skóry i ciemną egretką.

Inny kostium dla młodej panienki. Rycina Nr 6. Kostium z wigoni niebiesko-marynarskiego. Pierwsza spódniczka przybrana pliskami nadpowietrznymi z sycyliennymi tegoż koloru. To samo przybranie powtarza się na polonezie z bluzką, przepinaną pasmanterią na wzór wojskowego munduru. Pasek i kokardy z wstążki niebieskiej. Kapelusz filcowy niebieski, przybrany niebieskim aksamitem i ptaszkiem z ogonkiem formującym egretkę.

Jeszcze kostium dla młodej panienki. Rycina Nr 7. Pierwsza spódniczka plisowana z ottomanu popielatego, z wychodzącym brzegiem tegoż cieniu jaśniejszym. Tiunika, szmizetka i puf plisowane, z bronzowanego materiału, kolorem wydry na tle popielatym. Kaftanik z ottomanu popielatego, przybrany kołnierzykiem i wylogami z aksamitu koloru wydry. Kapelusz filcowy koloru wydry, przybrany aksamitem i różnokolorowymi piórkami. Mufka z wydry.

Ubranie dla młodej panienki. Rycina Nr 8. Ubranie zrobione z kaszmiru indyjskiego w kolorze zielonego mchu. Poloneza zapięta z boku na guziki metalowe tegoż cieniu. Szarf bufiasta i węzły spadające z atłasu mchowego koloru. Kapelusz z aksamitu strzyżonego, także zielonego, przybrany aksamitem i atłasem zielonym w dwóch cieniach.

Ubranie dla dziewczynki od 4 do 6 lat. Rycina Nr 9. Kostium pluszowy koloru rubinowego. Mała spódniczka w płaskie fałdy plisowane szersze i węższe. Szalik jedwabny kremowy haftowany, formuje drugą spódniczkę. Kokarda na ramieniu atłasowa; pelerynka i mankiety przybrane haftem zastosowanym do szalika.

Ubranie dla dziewczynki ośmio-letniej. Rycina Nr 10. Sukienka z ottomanu popielato-jaszczurkowego koloru, przybrana pluszem wiśniowo-różowym. Pierwsza spódniczka plisowana, otoczona w dole pasem pluszowym. Szmizetka plisowana spada bufiasto marszczona na pierwszą spódniczkę. Kołnierzyk i przybranie pluszowe, kapelusz filcowy popielaty, przybrany skrzydłami popielatymi i pluszem.

Nowomodne kolorowe okna, obicia, rolety, umeblowanie.

Największą nowością dziś w przyozdabianiu niektórych pokoi, jak: gabinetów, sypialni i jadalni, są kolorowe okna szklane. Anglicy, naród praktyczny, wynaleźli sposób zastąpienia tych drogich deseniowych szkieł, rodzajem cienkiej przezroczystej ceratki, cienkiej jak pa-

pier listowy. W znanym składzie obić pana Mazura na Placu teatralnym, pokazywano nam te angielskie szkła kolorowe z ceratki, w najróżnorodniejszych wzorach i kolorach, które w rozmaitej wielkości kawałkach, układają się podług własnego gustu i za pomocą wskazanego sposobu zwilżania, przyklejają na zwyczajną szybę, będącą w oknie, naturalnie od strony pokoju, aby wilgoć i zmiany powietrza nie wpływały na zniszczenie tych ślicznych nowości. Jest to zabawka tak miła i zajmująca, że panie bawią się tem naklejaniem; widzieliśmy w mieszkaniu hrabiny W. kilka okien, własnymi jej rączkami wykonane. Przedewszystkiem jednak nowość ta, ma zastosowanie do kapliczek prywatnych, lub kościołów wiejskich, naturalnie nowych, gdzie są szybki duże. Na ten użytek nie katolicka Anglia, przysłała katolickim krajom, wszelkiej wielkości świętych, których podług własnego gustu, nakleja się na szkło, ornamentując różnymi kolorowymi arabskimi. Jest to rzecz tak ładna, tak zajmująca w wykonaniu, iż szczerze namawiamy wolne od innych produkcyjnych prac panie, aby zajrzały do składu pana Mazura, choćby dla przekonania się o prawdziwości słów moich.

Mówiąc o oknach, musimy tu wspomnieć o roletach — owe papierowe rolety przed 30 laty, stanowiące taką nowość przesłannymi wzorami bukietów kolorowych lub arabesków, wychodzą już zupełnie z użycia, a miejsce ich zastępują jednokolorowe, złożone z samych precyków drewnianych, ściśle z sobą złączonych, których twórca na Wystawie wiedeńskiej, w 1873 roku, został nagrodzony medalem. Rolety takie wprawdzie nie czynią takiego efektu, jak malowane kolorowe, ale zasłaniają lepiej od światła i są stokroć trwalsze, wprawdzie i droższe, ale to już rzecz wiadoma, że co droższe to lepsze. Drugim rodzajem rolet używanych, są drelichowe szare w pasy, oszyte frendzlą lub bąbelkami, takich używa się do jadalni, salonu, do gabinetu zaś lub sypialni, gdzie blask światła wcale nie jest pożądanym, używają się pierwsze, które są tylko w dwóch kolorach: niebieskie i zielone, a przybijają się koniecznie wewnątrz pokoju, co już w składzie p. Mazura najlepiej widać, mając je w rozlicznych odmianach.

Obicia najmodniejsze są w rodzaju gobelinowym, a te cośmy u pana Mazura widzieli z odcieniem oliwkowym, przypominają wzorem robotę gobelinową. Owe jasne, białe salony, zastąpiono dziś niepewnymi kolorami, to jest, niewyraźnymi, jak wszelkie dziś wyrabiane tkaniny meblowe, które tylko w fantazyjnych meblach podnosi brzeg z atłasu wybitniejszego koloru. W ogóle dziś nie tylko buduary i sypialnie, ale nawet salony modne, mają światło przyćmione. Oprócz rolet, całe okno przysłania klarowna, w śliczny desen, gładko od góry do samego dołu okna spadająca zasłona, których ogromny wybór tak w białych, jak z kolorowym haftem, te ostatnie w oknie śliczny robią efekt, widzieliśmy u panien Heurich, obok zastosowanych do tego firanek, a wszystko ceny bardzo przystępnej, o co dziś głównie w naszych trudnych finansowych stosunkach idzie. Na taką więc klarowną zasłonę, idą dopiero firanki wąskie, z materiału portier lub obicia mebli, z pod których widnieją śliczne białe, z koronkowego materiału, lub z haftowanego ślicznego klarownego muslinu.

O umeblowaniu pisaliśmy obszernie w tej porze, w roku zeszłym; nie uległo zmianie, zawsze rozmaitego różnorodna w jednym salonie lub gabinecie, których przepyszne modele warto obejrzeć w zakładzie tapicerskim panów Mergentalerów, bo dziś przy meblach, stolarze mniej mają do roboty, jak tapicerzy — gust tych ostatnich stanowi o umeblowaniu pokoi. Ostatnim wyrazem mody w meblach, są malowane lub haftowane, czy to na aksamicie czy atłasie; ostatnie wykonywa od kilku lat, z najwyższym gustem i znajomością przedmiotu, podług ciągle sprowadzanych modeli paryżskich,

haftarnia pani Bobrowskiej (Wierzbowa Nr 2); malowane zaś nowości w swym rodzaju, maluje pracownia malarska panny Bronisławy Malinowskiej (Bednarska Nr 23), której śliczne okazy na Wystawie odznaczone były nagrodą, widzieliśmy u niej foteliki, robione na obstalunek, z wielkim gustem wykonane.

Owe śliczne kretony, w których kolorytem i wzorami Francja celuje, ale które na nie-szczęście pełzną zbyt prędko, zastępuje dziś „juta“, praktyczna, bo zwykle w ciemnych deseniach, mocniejsza i nie pełznąca tak szybko, jak owe cudne kretony, od których trudno oczu oderwać. O drogich tkaninach meblowych nie wspominamy nawet, przy ogólnym zastoju interesów i bolesnych finansowych warunkach, jeden tylko wyraz mamy do powtórzenia: „oszczędność“.

L. C.

Obiad na Niedzielę.

1. Barszcz burakowy.
2. Pieróg z mięsa w drożdżowym cieście.
3. Sztufada z kartoflami i grochem szablasytym.
4. Kurczęta z borówkami.
5. Szarlotka z jabłek.

Przepisy gospodarskie.

Wódka landrynowka.

W obecnym czasie, gdzie o świeży owoc na zrobienie nalewki trudno, można zrobić przyjemną owocową wódkę, na cukierkach Landrina, które jak wiemy, mają podstawę owocową. Na funt cukierków rozmaitych nalać kwartę spirytusu, po dwóch tygodniach, bo cukier w spirytusie wolniej się rozpuszcza, dłużej więc go można trzymać, niżeli na świeżym owocu; zlać, zrobić syrop z półtora funta cukru i kwarty wody; kto chce mieć mocniejszą, może brać mniej wody, rozebrać spirytusem syrop, wymieszać dobrze, zlać w butelki, a bez filtrowania powinien być czysty, po tygodniu, gdy się dobrze ustoi i sklaruje.

L. C.

Odpowiedź pani T. W. z Kujaw.

Przepraszam za spóźnioną odpowiedź, ale teraz dopiero list odebrałam. Największą u nas fabryką piór, jest pod firmą „Gliwic“, Senator-ska Nr 20; niech się pani uda tam piśmiennie z żądaniem, o sprzedaż piór pawich.

Wydawnictwa L. Cwierzakiewicz.

1. **Kolęda dla gospodyń.** Kalendarz na rok 1886 (rok 11-ty). Cena 50 kop.
2. **365 Obiadów**, (edycja 13) w oprawie rs. 1 kop. 25.
3. **Jedynie praktyczne przepisy konfitur, marynat, wędlin, ciast, wódek, likierów**, za które autorka nagrodzona została medalem srebrnym na Wystawie przemysłowej (wydanie 11). Cena rsr. 1 kop. 10.
4. **Kurs gospodarstwa wiejskiego i miejskiego dla kobiet.** Cena rsr. 1, kop. 20.
5. **Nauka kwiatów bez pomocy nauczyciela** z 239 rycinami. Cena rsr. 1.